



Krzysztof Gąsiorowski
(1935-2012)

Foto: Andrzej Dębowski

Gazeta Kulturalna

ISSN 1734-3240

Miesięcznik Rok XVII Nr 2(186) Żelów, luty 2012

Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka

W numerze:

Modernistyczna pogoda dla poetów – z poetą Adamem Lizakowskim rozmawia Janusz Kopeć

Wiersze: Emila Bieli, Elżbiety Bielskiej-Kajzer, Oliwii Betcher, Krzysztofa Gąsiorowskiego, Jerzego Jankowskiego, Pawła Kuszczynskiego, Adama Lizakowskiego, Krystiana Medarda Manteuffela, Jorana Standala, Marka Jerzego Stępnia, Wisławy Szymborskiej,

Andrzej Dębowski – *Zmarła Pani Poetka*

Leszek Żuliński – *Poznajcie nieznaną*

Józef Baran – *Przystanek marzenie*

Stefan Jurkowski – *Kilka festynów i pogrzeb*

prof. Maria Szyszkowska – *Filozofia codzienności*

prof. Ignacy S. Fiut – *W poszukiwaniu punktu metafizycznego*

Igor Wieczorek – *Słowo i oko*

Kazimierz Ivosse – *„Bo jest poeta w Polsce barometrem”*

Andrzej Bartyński – *Tryptyk odstłowny z przystawką lekcyjną*

Maja Trochimczyk – *O Marii Szymanowskiej w Paryżu*

Janusz Orlikowski – *Czy to na niby?*

Tadeusz Zubiński – *Z mojego kąta świata*

Andrzej Gnarowski – *O Jaćwingach przejmująco*

Andrzej Zaniewski – *Światła spełnione, jaskrawe i tylko twoje...*

Teresa Januchta – *Na drabinie czasu*

Wydarzenia

Informacje

Zapowiedzi

Opinie, Noty, Poglądy

Konkursy, Witryna, Kronika

Wisława

Szymborska

1923-2012

Vermeer

*Dopóki ta kobieta z Rijksmuseum
w namalowanej ciszy i skupieniu
mleko z dzbanka do miski
dzień po dniu przelewa,
nie zasługuje Świat
na koniec świata.*

Kronika

W wieku 76 lat zmarł w Warszawie **Krzysztof Gąsiorowski**. Poeta, publicysta, wieloletni redaktor miesięcznika Poezja, były prezes Oddziału Warszawskiego Związku Literatów Polskich. Jedną z najciekawszych postaci polskiej literatury powojennej, autor kilkudziesięciu tomów poezji, współtwórca Orientacji Poetyckiej Hybrydy. Był tyleż wybitny, co niedoceniany... Lubiany, co nienawidzony...



Foto: Andrzej Dębkowski

Krzysztof Gąsiorowski

Krzysztof nie był poetą łatwym, zarówno w życiu, jak i odbiorze jego twórczości. Wymagał od czytelnika pełnego zaangażowania się podczas czytania poezji.

Żył biednie i samotnie, jakby nie myślał o tym, że przecież oprócz poezji jest jeszcze szare, czasami nielatwe życie. Ale nie bardzo się tym przejmował.

Pamiętam, jak wielokrotnie spiraliśmy o jego „wiersze papieskie” — jak je nazywał — które przysyłał mi do „Gazety Kulturalnej”. Były to teksty jeszcze gorące, pisane nocą, przepojone emocjami, a wczesnym rankiem miałem je już na swoim komputerze, przesłane pocztą elektroniczną. „Wiersze papieskie”, były dla Krzysia nowym doświadczeniem literackim. Był nimi bardzo podekscytowany, pobudzony wręcz, chłonał wszystkie uwagi o nich — wręcz żądał ich. W jednym z listów napisał (pisownia dosłowna): „Andrzeju, czy te wierszyki mają właściwą metaforykę? Wiesz, zastanawiałem się w nocy, czy Papież mógłby myśleć tak, jak ja, to znaczy, że świat jako taki, jest tylko małym ziarenkiem piasku w kieszeni spodni? Bo wiesz, tak naprawdę, to chyba nawet on nie wie, jak to jest... ale pamiętaj, wal śmiało. Musimy to obgadać, jak przyjedziesz do Warszawy”.

Ech, Krzysiu, już nie pogadamy... Nie pogadamy sobie — ani o poezji, ani o metafizyce w wierszach... Ale myślę, że tam docenią Cię bardziej...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Imprezy

Harena zaprasza

Muzeum Jana Kasprówicza w Zakopanem zaprasza na widowisko poetycko-muzyczne pt. „Powiedz mi, powiedz. Marusi Kasprówiczej w Jej 125. urodziny Marlena i Przyjaciele”, oparte na

podstawie wierszy Marleny Zynger oraz pamiętników Marii Kasprówiczej, pani Harendy, autorki „Dzienników”, żony i muzy wielkiego polskiego poety — Jana Kasprówicza oraz inspiratorki i ordynniczki działań wielu innych artystów. Premiera widowiska odbędzie się 30 kwietnia 2012 roku o godz. 19.00.

Głównym punktem wieczoru będzie widowisko poetycko-muzyczne pt. „Powiedz mi. Powiedz.”, do którego stworzenia wykorzystano fragmenty dzienników Marii Kasprówiczej, wiersze Jana Kasprówicza, wiersze Marleny Zynger w oryginale oraz przekładzie wybitnego poety rosyjskiego Aleksieja Karelina, fragment Dostojewskiego w tłumaczeniu Kasprówiczej oraz fragment trzeciego aktu „Szewców” St. I. Witkiewicza. Autorką scenariusza jest Ewa Bartkowiak, poetka polska, posługująca się pseudonimem literackim Marlena Zynger. Scenografię przygotował malarz i grafik, absolwent warszawskiej ASP oraz założyciel i właściciel Wyższej Szkoły Artystycznej w Warszawie — Robert Manowski. Muzykę do wierszy Marleny Zynger skomponowała Dominika Świątek. Kostiumy zaś zaprojektowała i wysłała poznańska artystka — Daria Kwolek — Kompf.

W widowisku wezmą udział artyści z Polski i z Rosji. Wystąpią aktorzy Teatru Witkacego w Zakopanem — Adrianna Jerzmanowska i Krzysztof Łakomik, Teatru Syrena w Warszawie — Beata Jankowska-Tzimas, gimnazjalistka i chórzystka Alla Polacca przy Teatrze Wielkim w Warszawie — Kamila Bartkowiak, kompozytorka i wokalistka — Dominika Świątek, poeci — Marlena Zynger i Aleksiej Karelin oraz pisarz polsko-rosyjski — Dmitrij Strelnikoff. Towarzyszyć im będą muzycy — Michalina Olszańska (pisarka i skrzypaczka), Piotr Komorowski (kompozytor, pianista, były dyrygent Warszawskiej Opery Kameralnej) oraz Max Kowalski (basista, założyciel i lider zespołu Max Klezmer Band).

Autorka widowiska, podążając śladami Marii Kasprówiczej, pragnie przywołać, ważny jej zdaniem dla wielu współczesnych dziewcząt i kobiet, niezwykle portret kobiecości, w którym na planie pierwszym znajduje się ciągłe dążenie do pogłębienia świadomości własnego istnienia.

Po widowisku nastąpi uroczyste przekazanie dzieł współczesnych artystów zainspirowanych postacią Marii Kasprówiczej. Będą to m. in. prace Leszka Puchalskiego, Malwiny de Brade, Igora Yelpatova, Krzysztofa Michno, Tomasza Wybranowskiego. Zaangażowanie wyżej wymienionych artystów wskazuje na fakt nie tylko ciągłej pamięci o pani Harendy, ale przede wszystkim na kwestie nie gasnącej inspiracji jej osobowością oraz utrwalonych w „Dzienniku” zapiskami, co z kolei podkreśla ponadczasowy wymiar jej autentycznych rozważań, a co za tym idzie, wielką ich wartość, zarówno dla jednostki, jak i dla całej kultury polskiej.

Uroczystość ma charakter kulturowo-edukacyjny oraz międzynarodowy, ze względu na postać Marii Kasprówiczej, która z pochodzenia była Rosjanką, jednakże całe swoje dorosłe życie spędziła w Polsce, wspierając polską kulturę i sztukę. Będąc przez 42 lata panią Harendy, łączyła funkcje pamiętkowe domu z jego życiem codziennym. Jej niezwykła osobowość nadała temu miejscu charakter ośrodka życia kulturalnego, w którym bywali wielcy artyści, jak również zwykli ludzie, spragnieni kontaktu ze sztuką. Gościli tam m. in.: St. I. Witkiewicz, Kornel Makuszyński, Michał Choromański, Henryk Worcell, Dora Gabe, Bojan Panew, Antoni Słonimski, Karol Szymanowski, Egon Petri, Zofia Nałkowska, Enrico Damiani i Tadeusz Różewicz. Dla wielu młodych była „przy-

braną matką”, powierniczką, mistrzynią. „Dla nich wszystkich dom z nasturcjami wydawał się enklawą innego, nieznanego życia, jakie możliwe było dawno temu, a może istniało tylko w poezji” (R. Romaniuk, Talent do życia. O Marii Kasprówiczej, Towarzystwo Przyjaciół Twórczości Jana Kasprówicza — Harena 2008, s. 92).

Organizatorem wydarzenia jest Stowarzyszenie Przyjaciół Twórczości Jana Kasprówicza.

Sponsorzy: Starostwo Powiatowe w Zakopanem, Urząd Miasta Zakopane, Mazowiecka Wspólnota Samorządowa, Polish Business Club & Polish Local Magazine & Smart Printing (Londyn/Luton), Dom Muzealny ORNAK — Zakopane.

[eb]

Fragmenty scenariusza widowiska:

DSt (mówi fragment Dostojewskiego, w tłumaczeniu Kasprówiczej):

„Człowiek kocha budowanie i zdobywanie nowych dróg — nie ulega to żadnej wątpliwości. Dlaczego atoli tak jest, że kocha zarazem, aż do pasji, do namiętności — zniszczenie i chaos? [...] Czyż nie dlatego kocha on, tak bardzo kocha, zniszczenie i chaos (a to jest prawdą niezbitą, że je kocha), iż sam instynktownie obawia się tego dojsca do celu, i właściwie nie pragnie wykończenia tego gmachu, którego budowę rozpoczął? Kto wie, może on kocha tę budowlę tylko z daleka, a wcale nie chce jej zobaczyć z bliska? Kocha może samo tylko budowanie (...)”?

AJ (mówi; fragment z dzienników Marii Kasprówiczej):

„Stokroć prawdziwszym nieszczęściem od codziennych naszych bólów i trosk jest ta nieodwzajemniona miłość człowieka do człowieka, niezawiniona posucha serc u ludzi: dobroć, która wyciąga ręce i której nikt nie potrzebuje, miłość, która się garnie, a znajduje tylko wymijający gest. Uderzający paradoks! Świat po brzegi jest wypełniony istotami stęsknionymi miłości, pragnącymi własne serce komuś zaofiarować; tenże świat psuje się, ginie z braku miłości, na skutek olbrzymiej przewagi nieprzeduchowionej w nim materii. I często myślę nad tym: dlaczego to główne zagadnienie, nad którym biedzą się miliony głów — uporządkowania życia — obraca się wciąż i wyłącznie naokoło spraw ekonomicznych, materialnych, a nikomu nie przyjdzie do głowy stworzenie pomysłniejszych warunków do rozwoju ludzkich uczuć, wyzyskania tych uczuć w najwznioślejszym sensie tego słowa”.

BJT (śpiewa; wiersz Marleny Zynger):

zaklął małą dziewczynkę
swoim szklistym bezwrokiem
myślą gdzieś zabłąkaną
nad ognistym potokiem

chwycił ją — bardzo słabą
siłą ciał bezramienia
spowił ją jak obłokiem
rzucił w otchłań bezcienia

w dziwie niemych została
nie pojmując niczego

jedno wszakże wiedziała
niemożliwe — bez niego

Modernistyczna pogoda dla poetów

Z poetą i tłumaczem Adamem Lizakowskim rozmawia Janusz Kopec

Janusz Kopec: – *Jakim poetą jest Adam Lizakowski?*

Adam Lizakowski: – Dla większości Polaków, gdy rozmawia się o poezji, to mają na myśli poezję romantyczną. Wiele moich wierszy pisana jest w formie listu poetyckiego, więc narracja czasem monolog wewnętrzny. Narracja i monolog nie był obcy poetom romantycznym. Listy pisze się w pierwszej osobie, a pierwsza osoba to domena romantyków, ale oni byli lirykami, „pisali uczuciem”, posiadali wielką wiarę, opisywali przyrodę, nawiązywali do przeszłości, ludowości, legend, miłości sielskiej i anielskiej, średniowiecza lub kultury antyku. Ich narracja miała logiczny sens i tworzyła całość. Układali zwrotki, liczyli sylaby, doбирали rymy. Szukali lub czekali na natchnienie. Dla modernistów nie miało to znaczenia. Dla romantyków ptaszek wesoło śpiewa w lesie dla modernistów wiatr wyje. W poezji modernistycznej wiara i uczucie zostało zastąpione rozpaczą i alienacją. Ich wiersze często składają się z fragmentów, czy nawet części, nie mających logicznego związku. Poetyka, język, estetyka określa, do jakiego nurtu można danego poetę zaliczyć. Mój język i estetyka jest ludzi miasta, ulicy, alienacja, problemy z adaptacją, utrata wiary w religię i państwo, ogólnie mówiąc pesymizm, sarkazm, ironia podlewana bólem istnienia.

– *Jak zmieniła się tematyka twoich wierszy przez ostatnie trzy dekady?*

– Tematyka się nie zmieniła od „Złodziei cześni” z 1990 roku, do „Pieszyckich łąk” wydanych w 2010 roku. Nadal interesują mnie emigranci. Przez te wszystkie lata pozostałem wierny tematowi emigracji i adaptacji nowo przybyłych. Piszę o ich „Ziemi Obiecanej”, marzeniach, rozczarowaniach i porażkach. Są też sukcesy i blaski. Portretuję to, bez współczucia czy sympatii, radości i satysfakcji. Bezosobowo, udając biernego obserwatora. Ameryka wciąż w polskiej współczesnej literaturze nie istnieje, a o emigrantach się nie pisze i nie mówi w kraju. Ameryka dla polskiej poezji to wciąż nie odkryta wielka żyła złota.

– *Twoja poezja jest rozpoznawalna, masz specyficzny styl, portretujesz czasem w sposób brutalny rzeczywistość. Czy poeta winien być zaangażowany społecznie i politycznie?*

– Dla romantyków życie miało wzniosłe ideaty i było sielskie, wiersze były moralizatorskie, dydaktyczne, ale to nie modernizm odkrył, że życie jest brutalne i złe. O tym człowiek wie od zarania dziejów, ale modernizm z brutalności, apatii, zagubienia, bezradności człowieka uczynił sztukę. Brzydota częściej towarzyszy człowiekowi niż piękno. Częściej mówimy o złu i krzywdach niż dobru i życzliwości. Modernizm skończył się w Ameryce po II wojnie światowej. Symbolicznie, można powiedzieć, wraz ze śmiercią największego

amerykańskiego modernisty – poety Williama Carlosa Williama, który zmarł w 1963 roku. Poeta nie powinien się angażować w politykę. Najlepszym przykładem może być Ezra Pound – poeta, krytyk i teoretyk modernizmu. To on dopomógł wielu największym modernistom pierwszej połowy XX wieku w literackich „narodzinach”. Wiele mu zawdzięczają T.S. Eliot, Robert Frost oraz pisarze James Joyce, Ernest Hemingway. Wiadomo jak Pound skończył z powodów politycznych. Dlatego uważam, że poeta nie powinien angażować się w społeczno-polityczne sprawy.

– *Dlaczego izolujesz się od Polonii? Nie jesteś zresztą wyjątkiem, czynili to także inni, ot choćby Czesław Miłosz i Tymoteusz Karpowicz. Czyżby Polonia nie rozumiała, że każdy „Norcissus poeticus” ma wrażliwą duszę?*

– Nie będę się wypowiadał za nieżyjących już poetów. Ale nie chodzi tutaj o „Norcissus poeticus”, ale o coś więcej. Jak wiesz Polonia nie jest zdolna sprostać jakimkolwiek oczekiwaniom materialnym twórców tutaj mieszkających. Nie tylko poetów, ale i rzeźbiarzy, malarzy, aktorów, filmowców... Nie chodzi mi tutaj o pieniądze, one nie są najważniejsze. Chodzi o coś innego, budowanie polskiej kultury – jakie to piękne, a bez wsparcia społeczności polonijnej nic się nie da zrobić. Osobiście wiele lat „podarowałem” Polonii amerykańskiej. Wszystkie moje spotkania autorskie czy literackie były bez żadnego zaangażowania materialnego. Przez wiele lat będąc właścicielem księgarni literackiej „Golden Bookstore” zorganizowałem ponad sto spotkań z polonijnymi artystami, finansując wszystko w 100%. Był to piękny okres w moim życiu. Obecnie mam już szósty krzyżyk na karku. Czas na młodych rodaków. Swoje zrobiłem, dałem co miałem najpiękniejszego i bardzo mile to wspominam. Po prostu odsunąłem się a nie izoluję, tak bym to powiedział.

– *Dużo podróżujesz po świecie. Powiedz słów kilka o twoich spotkaniach na Podkarpaciu, to moje rodzinne strony. Czy pokłoniłeś się Marii Konopnickiej w jej dworku w Żarnowcu? Jakie przywoziłeś stamtąd wrażenia?*

– Dzięki poezji zobaczyłem „kawałek wielkiego świata”, także Podkarpacie. Byłem z odczytami poetyckimi na Uniwersytecie Rzeszowskim, byłem gościem Miejskiej Biblioteki Publicznej w Krośnie a także gościem organizacji „Wspólnota Polska” i po raz pierwszy w życiu nadarzyła się okazja zobaczyć południowo-wschodnią Polskę. Byłem u Marii Konopnickiej w Żarnowcu, widziałem jej dworek ofiarowany przez polskie społeczeństwo, obecnie muzeum. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem polskie szyby naftowe. Siedziałem na krześle Ignacego Łukasiewicza w jego biurze. Widziałem setki lamp naftowych w muzeum w Krośnie. Zobaczyłem po raz pierwszy w

życiu Bieszczady, skansen sanocki. Spacerowałem po Jaśle, wzgórzach nad Soliną. Robiłem znak krzyża przed ikonami w Muzeum Historycznym w Sanoku i podziwiałem oryginalne malarstwo, nie reprodukcje, malarza Zdzisława Beksińskiego. Tyle wspaniałych wrażeń i doznań. I to wszystko dzięki poezji. Powstał też skromny tomik pt. „Wiersze z nafty” i czekam teraz na wydawcę. Może ktoś z dużą „kasiorą” się zgłosi po przeczytaniu tego wywiadu.

– *Twoje związki z Czesławem Miłoszem to długi i ciekawy temat. Czy to prawda, że Miłosz wylansował Lizakowskiego jako poetę?*

– Tak zgadzam się z tobą, to ciekawy i długi temat. Pan Czesław, tak do niego się zwracałem, polubił mnie jako człowieka i jako poetę. Był osobą, która chciała mi pomóc, wysłał moje wiersze do „Kultury” paryskiej, czy do krakowskiego „Tygodnika Powszechnego” w drugiej połowie lat 80. ubiegłego wieku. (Nigdy bym nie miał śmiałości zaproponować mu wysyłania wierszy). Zrobił to, bo tak chciał, bo podobała mu się moja poezja. Miałem szczęście, poza tym był dla mnie życzliwy, wspominał mnie m.in. w swoich listach do Marka Skwarnickiego, poety z Krakowa. O czym dowiedziałem się niedawno. Słowo „wylansował” zupełnie nie pasuje.

– *Jak wyglądały twoje spotkania z laureatem Nagrody Nobla w Kalifornii?*

– Spotkania odbywały się w jego domu, w salonie lub – jak mówią Polonusi – w livingroomie. Spotkań tych było wiele, ale też było wiele odczytów autorskich naszego Noblisty, na które byłem przez niego zapraszany, albo dowiadywałem się o nich z lokalnych mass mediów. Robiłem sporo zdjęć stąd też te liczne wystawy 25 lat później począwszy od Muzeum Polskiego w Ameryce, w Chicago, aż po Wilno i Litwę. A pierwsze spotkanie odbyło się podczas wielkiego czytania poezji zorganizowanego przez Amnesty International w San Francisco, jesienią 1986 roku. Porozmawialiśmy chwilę, a to wystarczyło, aby zdobyć adres tzw. skrzynkę kontaktową na jego wydziale slawistyki. I tak się zaczęła nasza znajomość, nie przyjaźń. Przy pierwszym spotkaniu u niego w domu, opowiedziałem mu o sobie, o swoim życiu na Dolnym Śląsku, Pieszycach – miasteczku, gdzie się wychowałem. O mojej przygodzie emigracyjnej. Dzisiaj – siedem lat po jego śmierci – wciąż mnie zaprasza w różne części Polski. Na początku czerwca 2011 roku była wystawa fotografii w Dolnośląskiej Bibliotece Publicznej we Wrocławiu.

W grudniu tegoż roku byłem przewodniczącym jury konkursu filmowego pt. „Krótki film o Miłoszu” zorganizowanego przez Wojewódzką Bibliotekę Publiczną w Olsztynie.

(Dokończenie na stronie 4)

Modernistyczna pogoda dla poetów

(Dokończenie ze strony 3)

Wiadomo, z okazji 100. rocznicy urodzin Noblisty.

– *Czy trudno przybliżyć Amerykanom polskie strofy poetyckie? W USA znana jest „polska szkoła poezji”. Amerykanie znają naszą wielką czwórkę... Miłosz, Szymborska, Herbert, Różewicz... może jeszcze Hartwig i Zagajewski. A co z resztą?*

– Trudne pytanie, bo to zależy od tego czy Amerykanie studiują sławistykę, czy czytają poezję? Czy polskość jest atrakcyjna dla Amerykanów, na tyle bogata aby zainteresować ich lub zachęcić do nauki. Czy mamy wystarczająco dużo przekładów, aby pokazać różnorodność naszej literatury? Amerykanie tak jak Polacy nie interesują się poezją, więc znajomość jej jest znikoma. Najbardziej jest znany Czesław Miłosz. Wiadomo wielki poeta – profesor, laureat Nobla. Adam Zagajewski ma rzeszę swoich poetyckich wielbicieli w Ameryce. Byłem na wielu jego spotkaniach w San Francisco i tutaj w Chicago. To wspaniały poeta, wielbiciel poezji Miłosza, zresztą uczy jej amerykańskich studentów. Muszę powiedzieć, że Amerykanie bardzo go sobie cenią, nie tylko jest znany w środowisku akademickim, ale także wielu moich amerykańskich znajomych, lubią twórczość Zagajewskiego. Amerykanie uważają Herberta za poetę trudnego. Jego poezja w dużej części oparta na kulturze antycznej, śródziemnomorskiej, metaforze mitu greckiego, jest dla przeciętnego Amerykanina mało zrozumiała. Co nie oznacza, że Herbert nie jest tutaj znany, jest i to bardzo, ale krąg jego miłośników jest o wiele mniejszy niż Zagajewskiego czy W. Szymborskiej. Amerykańskie feministki bardzo wysoko cenią sobie jej poezję. Parokrotnie zdarzyło mi się być w środowisku młodych ludzi, którzy w samych superlatywach mówią o jej poezji. Niestety niewiele mogą powiedzieć o Tadeuszu Różewiczu, mam wrażenie, że jego obecność w świadomości amerykańskich studentów jest znikoma. Pani Julia ma też swoich wielbicieli, ale wszystko zależy od tego kto uczy i jak układa sylabus dla studentów. Zdaje mi się, że wiem gdzie jest przyczyna tego, ale nie będę o tym teraz mówił. Młoda polska poezja radzi sobie dużo lepiej teraz niż na przykład tylko 10 lat temu. Ale, żeby zaistnieć w świadomości zbiorowej jako twórca, poeta w szczególności na to potrzeba długich lat ciężkiej pracy.

– *„Twoi” najwięksi poeci Ameryki?*

– Poetów amerykańskich ulubionych mam wielu i skupię się tylko na żyjących. Kilku z nich to moi byli profesorowie, którzy na tzw. giełdzie poetyckiej w Ameryce mają wysokie notowania, jeśli można tak powiedzieć. Są to Lisa Fishman, David Trinidad, Jaswinder Bolima. Mam z nimi luźny kontakt i od czasu do czasu zapraszają mnie na swoje wieczory poetyckie lub udzielają porad poetyckich. Poznałem też wielu poetów z różnych regionów Ameryki. Na przykład Robert Pinsky, Robert Hass, Peter Gizzi, John Ashbery, Gary

Snyder, Jonathan Skinner. Nie będę wymieniał tych których tłumaczyłem, czy tych co już nigdy wiersza nie napiszą. Czy to są „najwięksi” poeci Ameryki, chyba nie. John Ashbery jest z nich najstarszy i co tu dużo mówić zdobył dosłownie wszystko w amerykańskiej poezji.

– *Twoje najnowsze wiersze napisane w języku angielskim zadziwiają mnie, dotyczą roślin i zwierząt, postaci baśniowych i historycznych. Czyżby Lizakowski wypalił się poetycko w języku polskim i szukał oryginalności za wszelką cenę po angielsku?*

– Nie szukam oryginalności za wszelką cenę, tylko inną tematykę poruszam w wierszach po angielsku. Nie tłumaczę swoich wierszy polskich na angielski i odwrotnie. To co piszę po polsku nie zainteresowałoby moich profesorów, ani czytelników. Zresztą kiedyś próbowałem i nic z tego nie wyszło. Moja „polska poezja” napisana po angielsku okazała się dla nich nie tylko trudna, ale i niezrozumiała. Ja się irytowałem a oni błędnie ją interpretowali, albo nabierali wodę w usta i nic nie mówili. Czulem, że coś jest nie tak więc dałem sobie spokój z poezją polską napisaną po angielsku. Te wiersze, które czytałeś są o zwierzętach pisane z myślą o liczeniu studiów tzw. theses i je właśnie zaproponowałem mojemu profesorowi prowadzącemu jako pracę końcową. Przyjął je i otrzymałem najwyższą ocenę za nie. Jest ich 35. Są to wiersze o ptakach: orle, bocianie, papudze, wróblu, jaskółce. Są też wiersze o pająku, mrówce, krowie, dinozaurze, osle itd. Kiedyś planujesz kilka dopisać i wydać mały skromny tomik. Może nawet z jakąś grafiką.

– *Ludowe porzekadło mówi, że każdy prawdziwy mężczyzna winien mieć syna, zbudować dom i posadzić drzewo. A co powinien zrobić poeta.*

– Nie wiem co poeta powinien zrobić. Wiem, że dom, miasto łatwo jest zburzyć, drzewo ściąć, dzieci odchodzą w świat, emigracja jest tego doskonałym przykładem. Dzieci zostawiają rodziców na pastwę losu, gonią pieniądź. Znam wiele matek, które pozostawiły małe dzieci i uciekły w „siną dal za wielką wodę”. Kiedyś napisałem krótki wiersz, jest to moje credo poetyckie z tomiku pt. „Złodziejce czereśni”.

Poeta

Powinien być psem

Który wkłada nos do śmietnika ulicznego

Wącha różę w cesarskim ogrodzie

Szczeka i wyje do księżycy

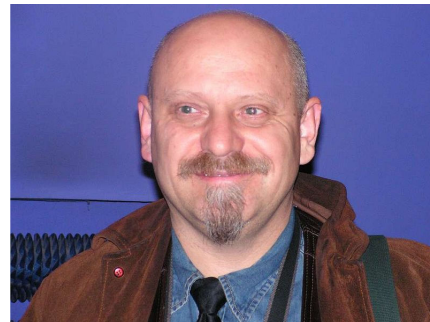
Nawet jeśli ten nie zwraca

Na niego uwagi

– *Sukcesów Adamie życzę Ci, niech narowisty Pegaz – mustang unosi cię coraz dalej i dalej. Jesteś jak samotny Mohikanin, błędzący po prerii Illinois, szukający nowych ścieżek i odmiennych zachodów słońca. Wędruj po bezdrożach literatury i zbieraj wiersze – perły. Niech świecą dla nas odmiennym blaskiem.*

Chicago, 9 stycznia 2012 roku

Adam Lizakowski, poeta, tłumacz przebywa poza granicami kraju od 1981 roku. Autor ponad kilkunastu tomików wierszy. Wielokrotnie nagradzany za swoją twórczość w Polsce i Stanach Zjednoczonych. Od 1991 roku mieszka w Chicago. Studiował poezję na Columbia College Chicago. Skończył studia z wyróżnieniem (Cum Laude) uzyskując tytuł Bachelor of Arts in Creative Writing – Poetry.



Adam Lizakowski

Adam Lizakowski

Wyjazd z Krosna

Nikt go w tym mieście nie zatrzymywał, ani miłość, ani pieniądze, ani obowiązki, wróci do Ameryki, do mieszkania z ciekawym kranem, psującym się autem, meksykańskimi sąsiadami, sprzedającymi na ulicach w Chicago muszle z morza Cortesa, jakieś magiczne kamienie, i kryształy z Gór Czekoladowych, lub Miedzianego Kanionu, jakieś magiczne zioła z magiczną zawartością, których używają uzdrowiciele i wróżbici, zapalone świece przynoszące ulgę cierpiącym na płuca i kaszel, oraz tym co nie mogą zdobyć się w dzień a co gorsza i w nocy na miłość do ukochanej, kameleony przynoszące szczęście tym co mają wysokie kredyty bankowe, jakieś paczuszki z magiczną zawartością, co w nich jest mało kto nie wie, wielobarwne papugi bardzo inteligentne mówiące językiem Azteków, krzyczące co 15 minut viva Zapata! Viva! Chiapas, viva revolucion!, one szczęśliwie zakochanym przepowiadają przyszłość w języku francuskim, wróci do Ameryki i pozostawi tę głupią geś, w Krośnie sexy lady, której marzeniem jest strażak dobrze zbudowany a nie łysy, tłusty intelektualista, z dużym brzuchem, małymi krzywymi nogami i odstającymi uszami, przecież przy nim poecie i marzycielu, nie mogłaby pokazać swojej namiętności, tego co potrafi dokonać w windzie lub na plaży, przed poetą musi odgrywać kogoś innego, wierzącą w tradycyjną rolę kobiet: wyszywanie, gotowanie, karmienie tylko piersią, wierzącą, że małżeński stosunek dozwolony jest tylko wtedy, gdy jego wyłącznym celem jest spłodzenie potomków, epi monei paidopoiiai jak mawiał Klemens

Aleksandryjski.

MNIJ WIĘCEJ (84)



Poznajcie nieznaną!

Nie jesteśmy w stanie „przeczesać” dzisiejszej poezji. Jest jej – wbrew klimatowi obecnego czasu – dużo, publikacji książkowych i prasowych multum, o Internecie już nie mówiąc. A przecież istnieje jeszcze swoisty underground, tzn. nieoszacowana liczba tych, którzy piszą do szuflady, piszą dla siebie i po świecie ze swoimi wierszami się nie obnoszą.

LESZEK ŻULIŃSKI

Dzisiaj słów kilka o takiej właśnie poetce... Jest nią **Elżbieta Bielska-Kajzer**, emerytowana nauczycielka z lubuskiej Nowej Soli, pani w wieku średnim, pisząca „od zawsze”. W swoim mieście osoba rozpoznawalna, bowiem jest znakomitą felietonistką miejscowej gazety, ale podejrzewam, że i tam nie wszyscy z jej otoczenia wiedzą, że poetka. W GK drukowaliśmy niedawno jeden jej wiersz.

Elżbieta żyje literaturą. Jest bardzo czytana, a świat jej książek, to osobny interior jej życia, czasami zdaje mi się, że bardziej rozległy niż świat realny i pragmatyczny. O literaturze, kulturze, filozofii można z nią dyskutować godzinami...

Jej wiersze... Trudna sprawa do wyrazistego zakwalifikowania... Ani awangardowe, ani post-jakiegokolwiek. To dlatego, że są one bardzo „introwertyczne” i „solipsystyczne”. O ile poeci najczęściej myślą o modelowaniu swojej poetyki i „świata przedstawianego”, ta autorka po prostu – choć posiada wysoką wiedzę i samoświadomość literacką – pisze jakimś „naturalnym głosem duszy” i z takich pokładów intymności, że jest to nieustanna rozmowa z „sobą wewnętrzną”, z własnym *alter ego*, ale nie wyдуманym, lecz tym, które siedzi w niej na równych, może nawet mocniejszych prawach niż ego „ucieleśnione”. To jest jednak poezja nie tylko podsłuchana w autokonfesjonalne sensów egocentrycznych, lecz budująca bardzo wyrazistą aksjologię postaw i losu, której busola daje się zuniwersalizować i odnieść do szerszej refleksji odnoszącej się do pytań podstawowych: jak żyć i jak sobie z tym radzić? W poetyce tych prywatnych impresji, zapisujących własne rozterki, dramaty, epizody, zdarzenia, smutki, Bielska bardzo często dotyka metafizyki istnienia – osobliwej, bowiem bardzo mocno zakorzenionej

w biografii, acz potrafiącej nawet najdrobniejsze epizody zmetaforyzować w domysł lub definicji ontologiczno-etycznych konstrukcji, które tworzą niepowtarzalną muzykę jej świata, ale i nam pokazują przestrzenie wspólne, jakich dotychczas nie postrzegaliśmy.

Są to wiersze proste, jednak tą dziwną prostotą, która ma moc paraboliczną. Zapewne należą do kategorii „życiopisania”, i to zdecydowanego, jednak – podejrzewam – nie zawsze nam pozwalającego się konkretnie odczytać czy przełożyć na język zdarzeń. To jest „życiopisanie” emocjonalne i intelektualne, jestem jednak głęboko przekonany, że nie wynikające z fikcji. Toteż nuta autentyczności i wiarygodności zdobywa czytelnika, chociaż pozostawia w domysłach. W jakiejś mierze widzę w tym istotę „dzieła otwartego”, zarazem mocno zakorzenionego w konkrety autorskim, jak i osobno krążącego według gps-u odbiorcy. Ale tym razem ten „rozryw” jakoś się sprawdza i wierszom nie szkodzi. W ogóle nie są to wiersze hermetyczne, choć zapewne ezoteryczne.

Ten wiersz, prezentowany obok mojego tekstu, nie stwarza większych trudności w odczytaniu, wiele innych skazuje nas na domysł. Ale owocny i intrygujący. Poza tym prostota tych tekstów jest „pozorna”. Dla przykładu taki epigramacik: *ciężar twego ciała trzyma mnie / a pewność umysłu jest siłą, / za którą podążam // nie muszę zmieniać języka / byś zrozumiał // jezioro to jezioro / las to las // a do serca i wina potrzebny jest / korkociąg*. Ważny jest tytuł tego wiersza: *Poetyka* – on parabolizuje tę niby prostą treść i czyni z niej metaforę określonego stylu życia, ba!, filozofii życiowej.

A oto tekst już bardziej skomplikowany: *wielka ściana warkoczyków / kiedy jakieś się splatają / inne rozplatają // nasze oczy niedowidzą / patrzą w jedną tylko stronę / nasze uszy niedosłyszą / a dotyk zawodzi / nie zważając na krzyk nocy / i ruinę przyzwyczajęń / gdy panika się rozrasta / warkoczyki rozplatają / sobie tylko wiadomymi kanałami / zmierza ku nam moc i cisza // warkoczyki się splatają...* Skojarzenie ze znanym wierszem Różewicza nie ma nic wspólnego z tym tekstem – ezoteryczną, osobliwie somnambuliczną wizją wewnętrznej integracji i dezintegracji duszy, przeżyć, lęków i dyfuzji.

To bardzo „wyciszona” poezja, pozbawiona krzyku, jakiegokolwiek manifestacji... Poezja cicha, której głównym wątkiem jest chyba samotność i umiarkowanie epikurejskie jej przeżywanie, które z traumą spotyka się na co dzień. Poezja Wielkiej Prywatności, ale właśnie dlatego w niej możemy wszyscy odnaleźć i siebie.

Elżbieta Bielska-Kajzer

* * *

powiedział że trzeba się zbierać

w tym dniu pachniało rosołem
który gotował się także dla niego
ale on zdążył się wymknąć przed obiadem
zdążył przemknąć zanim w pokoju
zapanowała cisza

bo przestał ciężko oddychać
w ogóle przestał
tak jak zapowiedział

trzeba się zbierać rzekł do mamy
i nie było go na pewno
w czarnym worku zapinanym
na błyskawiczny zamek
który ci obcy mężczyźni
włożyli do karetki i wywieźli
tak szybko to się stało
nie było go już wcześniej
zdążył przemknąć
zanim w pokoju zrobiło się cicho
bo przestał ciężko oddychać
w ogóle przestał

wreszcie ode-tchnął ode-pchnął
nie musi jeść pić kłamać
ani nic

jak dobrze mam
że zdążyliśmy go umyć i ubrać same
że nikt obcy nie dotknął jego nagości
nie zdążyliśmy tylko z butami i z marynarką
ciało stawało opór
myślę że był zadowolony
choć nie jestem pewna
czy jeszcze przebywał w pokoju
czy już tam
dokąd zbierał się wcześniej
i wszystko co nasze
było mu doskonale obojętne

zanim przyjechali
zdążyliśmy jeszcze go oplakać
w dwuosobowym chórze
głośno i niepohamowanie
jak należało
myślę że jeszcze wtedy był w pokoju
zanim przyjechali po ciało
ci obcy mężczyźni tacy zdumieni
że umyte i ubrane to już rzadkość
powiedzieli

teraz patrzę na dwie
przytulone do siebie synogarlice
które mi pokazujesz za oknem
a moje oczy ręce myśli płacz i śmiech
i wszystkie moje miłości
wciąż należą do mnie



Elżbieta Bielska-Kajzer

Krzysztof Gąsiorowski

(1935-2012)

Gładys

Gładys, jak samo imię
wskazuje — Turczynka z Bułgarii;

przysadzista, o cienkiej pęczynie
i bezgranicznym spojrzeniu —

— gdyby tak wejrzeć w te źrenice
głębiej, widziałbyś chyba Mgławicę
Andromedy;

Gładys narzucając na mnie,
jak opończę, swoje czarne przepaście,
oznamię, łamiącym się językiem
rosyjskim:

jestem kobietą tysiąckrotnie.

Tego to chyba za wiele, nawet
jak na potomka Sobieskich.

Oto bowiem docierają do mnie
z uzmysławiającej się przepaści, wraz
z wrzawą i wrzaskiem bitewnym, jej
nieprzeliczone i tłumne orgazmy,
w łoskocie wodosпадów genezyjskich.

I powiewa grozą.

Od biedy umiałem jeszcze
siebie wyobrazić jako coś w rodzaju
ośmiornicy fallicznej,
Gładys, nie uznająca miłości
zbiorowej, pragnie, abym się przeobraził
chyba w gigantycznego polipa,

w którym, pośród tysięcy okazałych
odnóży, przemykałyby całe roje
czerwonych języków...

Good bye, Gładys, mówię jej
załamującym się językiem angielskim;
mimowiednie trawstując Eliota
z *Ziemi Jałowej*.

Pochodnia

Wczesna wiosna, jej młodziutki
poranki;

ze wszelkich aniołów najponętniejsza
jest woń płonących szczap sosnowych
— w którymś z pobliskich domów tańczy
nagi ogień, ogarnia mnie

starcza lubieżność. Twój pot, twoje
ciało właśnie tak pachną, Agnis.

Widzę sploty dymu. Jakiś jasnioletowy
krzew właśnie zakwitł i świeci

wiośnie. To któreś z moich podziemnych
bóstw opiekuńczych zapaliło pochodnię,

abym nie oślepl wśród rzeczy
— starzeję się, zapadam w ciało, coraz
nieodwołalniej.

Agnis, wężę, przebywasz w pobliżu.
Czuję zapach twego potu, zapach dymu
z płonącej, żywicznej sosny;

rozpoznałbym cię nawet w świetłach cienia.

Jeszcze

Jeszcze widzę twoje oczy. Rosną
W moim ogrodzie. Zobaczyłem: — pośród
płatków
Tonie fiołek.

Jeszcze słyszę włosy twoje. Wieją
W moim ogrodzie. Usłyszałem — cień, gdy
szeptał
Poprzez powiew.

Rozpoznałem twoje dłonie. Świecą
W moim ogrodzie. Wyróżniłem wśród pło-
mieni
Jasny dotyk.

Wołam do siebie. Słyszysz? Ciebie śpiewam
W ogrodzie. I wargi moje ciebie tańczą. I
tańczy
Ciebie moja krew.

Tańczysz, tańczysz...
A nie nadchodzisz. Czy nikt nigdy nie
Powraca do ogrodu?

Szczeźniemy Irenko

*Kości twoich pragnę domacać się,
kochana, abym mógł Cię rozpoznać
w Dzień Zmartwychwstania
(ze średniowiecznej poezji hiszpańskiej)*

Szczeźniemy Irenko, obsypimy się
w proch i pył, wessą nas glina i ił,
rozjarzy popiół radioaktywny...

Mniejsza tu o mnie, ale
bez fałszywego wstydu podglądam Cię
nocami od kilku gwałtownych tygodni
nieswoim okiem nieskończoności i
upijam się gorzką śliną.

Twoje piersi, twoja szyja, twoje
uda i usta... Nikt tego już nie
powtórzy, nikt nie zdoła odtworzyć
z nicości.

Twoje pośladki i biodra,
kiedy kłęczysz, schylona i korna
wobec nadciągających gwiazd,

kurczowo czepiając się sierści
dywanu, pod którym samoce się
śmierć, powstrzymana na parę
drzeń i westchnień.

Kto mówi o sprawiedliwości lub
o sensie? Ale co za straszliwe

marnotrawstwo!

Zestarzejesz się, Irenko, szczeźniesz,
raz na zawsze rozwiązane będą linie
twoich ramion, kształt brzucha i jego
gniazdo.

Powiniem odejść, aby
nie zapomnieć, tyle że i wtedy wraz
ze mną przepadną.

Gdybym jakoś poczuwał się
wobec wieczności, wierzył w
zmartwychwstanie i żywot,
i Sąd Ostateczny —
powiniem byłbym teraz, zabić Cię,
Irenko.

Zabić, poćwiartować, rozrzucić
po śniegach wieczystych. Wszystkich
byś rozgrzeszyła swym wzejściem
świetlistym.

Spacer

Każda twoja miłość osiąga taki wiek
jaki i ty uniesiesz kiedy będziesz umierał
Lecz starzeje się prędzej — a stąd
codziennie uczestniczysz w swoich przyszłych
pogrzebach



Jerzy Jankowski

* * *

Krzysztofowi Gąsiorowskiemu

odchodził na raty
a raty były duże i z procentami
maszyna do pisania
zastrajkowała
aż zaniemówił z wrazenia
wszyscy naokoło też
zaniemówili z wrazenia

tak zwyczajnie po literacku
schody przestały skrzypieć
różaniec odmówił
posłuszeństwa
wszystko zaczęło stygnąć

tylko oczy były ciągle zdumione
ironiczny uśmiech
przedśmiertny
i potrzeba uporządkowania
papierów
ostatnia rata przypadła
na styczeń 2012

Paweł Kuschczyński

Byłem w Stroniu Śląskim – Wieś

Kasi i Klemensowi

Ta okolica przychodzi krajobrazem,
wzgórzami znaczoną,
uspokojona trwającą zielenią świerków,
mowy strumyka ciągle
chce się słuchać.
Czarna Góra nie zawodzi
oczekiwania bieli śniegu.
Przestały tłuc się w głowie
pragnienia znikome,
myśli zatrzymały się
na Bożonarodzeniowych świątłach
(dostojnieją domki na zboczach),
emocje nie gonią
w natrętnie strony.
Czuję, czas się zatrzymał –
mam go przy sobie:
oczy chcą przyspieszyć
otwarcie drzwi Domu.
Przychodzi ten moment,
że trzeba wykrzyknąć:
Jak pięknie tu i ciepło!
Podarowana czystość powietrza i cisza.
Wdzięczność jest we mnie –
to odpowiedź dobroci.

25 grudnia 2011

Ogrodowe refleksje

Znów przyjechałem do ogrodu –
przywitał mnie najciszej,
jak żaden z ludzi,
pozwolił mi być sobą bez reszty.
Tylko zmartwiły mnie cięte kwiaty
w wazonie, który potrafi czekać.
Czemu w nich tak szybko piękno gaśnie?
Rozpląkało się dziecko,
upadło, nie zauważyło progu w alejce,
pomyślałem: płacz wielką ceną istnienia.
Ważne są słowa,
w nich trwamy najdłużej.

10 kwietnia 2011

Spotkanie z poetką

Przyniosłem słowo i czas,
który pochylił się nad nami
jak jabłoń z obfitością owoców.
Mówimy wszystkim do siebie,
błyski żrenic przydają światła twarzom.
Przychodzą nam z pomocą:
srebro zatrzymane na kropkach rosy,
las, który przywita śpiewem kosa,
wiatr otwierający drzwi
(zamiast dawno oczekiwanego brata),
synogarlica z zieloną gałązką nadziei,
złoto kłosów w otwartych dłoniach,
uśmiech mijanego przechodnia.
Oddani wspólnym westchnieniom:
Weneda jeszcze książkę napisze,
ja postaram się coś przeczytać.
Spotkały się dwa pragnienia,

podążające z różnych brzegów.
Życie na chwilę z losem pogodzone.

Konin, 2 marca 2011

Pamięci brata

Józek, z nas czterech, na zawsze
pozostaniesz najstarszy.
Odszedłeś na drugą stronę błękitu,
który z początku do końca
jest bardzo daleko,
w tajemnicy nam zadanej.
Nieustająco kołotaliśmy do twojego domu
słowa –
nie chciały na oścież otwierać się drzwi.
Ludzie mówią: odszedł na tamten świat –
nikt nie wie co znaczą te łatwe słowa.
Co odejście przynosi: radość czy cierpienie
w tym nieznanym czasie i przestrzeni –
nikt nie zna jej koloru, muzyki
ani języka, jakim tam mówią do siebie.
Nie przestaje nas zdumiewać Dom,
w którym tak wielu z Bogiem mieszka,
dachu nie ma.
Jesteśmy z drogi, do niej należymy –
wytrwale wypełniłeś to człowiecze
przeznaczenie.

W tych ziemskich peregrynacjach,
w których godziłeś życie z losem,
znalazło się wiele miejsc.
W polskim krajobrazie ciągle zielonych nadziei
wypatrywałeś zwycięskiej wojny,
wieńczącej pokój dobrą mądrością.
Nieustająco pytać będziemy:
Dlaczego trzeba umrzeć,
by móc ujrzeć Boga.

Poznań-Zielona Góra, czerwiec 2011

Zauważenie

Są takie miejsca, których
nie sposób pominąć
w wędrówce życia:
Dom Księgarza przy Starym Rynku,
gdzie na zawsze
zamieszkała książka.
W gruncie rzeczy to szczęście
samo przychodzi:
z hotelowego okna,
otwartego na wschód,
podziwiałem wstawanie Słońca.

Dom Polonii w czasie
40. Warszawskiej Jesieni Poezji

Przychodzi taki czas

Markowi Kosmowskiemu

Zerwać cięciwę – tak dla niepoznaki –
by nie gonić oczami za strzałą,
przemysłnie skryć uczesanie,
szarpnięciu losu ulec choćby na chwilę
i uciec od tego, co gościło zagłaskane –
oddać się życiu bez granic,
w świecie ciągle na początku.

Ten drugi

Jerzemu Szatkowskiemu

Nikt ci się nie przygląda,
oczy chcą się na czymś zatrzymać,
próbują podeprzeć się myślami.
Rzeczy w popiół zamienione.
Brzęk talerzy i sztućców –
muzyką chwili. Niemy stół.
Zbędne przywołanie:
Słowa, poezja się ostaną –
by stwarzać ziemię.
A kto jest po drugiej stronie?
Czy przepelnięty podobnym
niepokojem, nadzieją...
czeka z otwartymi ramionami.
Czy w dłoniach ma nóż, pistolet?
Otwierasz drzwi: w jego twarzy
odnajdujesz swoje pragnienie,
bojaźnią naznaczone.

6 stycznia 2011



Joran Standal

Na pożegnanie Krzysztofa Gąsiorowskiego

a więc oznajmiłeś nam
spokojną treścią nekrologu
o swym odejściu ostatecznym
gdy my zostajemy nadal
do życia przywiązani
i jak nam się wydaje wolni
mając przed sobą drogocenne życie
wierząc
że będzie trwało wiecznie

a ty masz już święty spokój
i widzisz nas
z zupełnie innej perspektywy
i zrozumiałeś w pełni sens
naszego ubogiego człowieczeństwa
wybory dróg którymi podążamy
i chciałbyś nas zawrócić - ostrzeż
ale po co

swą wyobraźnia poetycką widzisz
dalekie horyzonty
cały istnienia cel
i wiesz
że nie skorzystalibyśmy
z twoich rad ostrzeżeń
że nadal podążamy własną ścieżką
unosząc tylko żal
żeś nas opuścił ostatecznie

i cóż ci mogę rzec –
do zobaczenia w lepszej rzeczywistości
Krzysiu

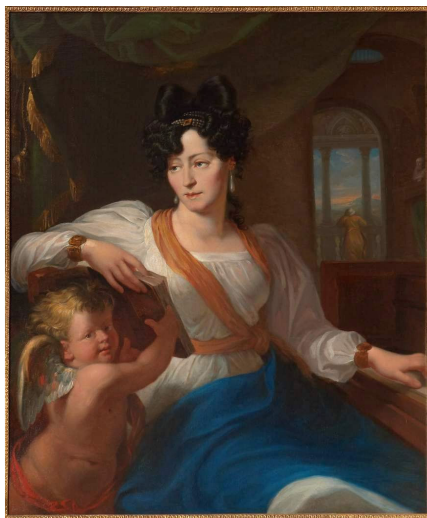
17 stycznia 2012 roku

O Marii Szymanowskiej w Paryżu

Kim była Maria Szymanowska? Kuzynką Karola Szymanowskiego? Będą o niej wiedzieć pianiści i historycy muzyki specjalizujący się w romantyzmie, lecz w szerokich kręgach kulturalnych jest nadal zapomniana. Urodzona w 1789 roku w Warszawie, Szymanowska pochodziła z rodziny Wołowskich, ale europejską karierę zrobiła pod nazwiskiem męża, Józefa Szymanowskiego, z którym rozwiódła się w 1820 roku, aby kontynuować karierę pianistyczną zainicjowaną wyjazdem do Paryża w 1810 roku. Szymanowska była jednym z najważniejszych polskich wirtuozów XIX wieku, znaną w całej Europie kompozytorką i pianistką. Komponowała w stylu brillant, uprawianym w tym czasie przez Kalkbrennera i Hummla (a później Chopina w koncertach fortepianowych), dzieląc swoją muzykę na dwa nurty – wirtuozowskie utwory na estrady koncertowe (etiudy, polonezy, i wariacje) oraz pieśni (w tym kilka *Śpiewów Historycznych* do słów Niemcewicza) i salonowe tańce na użytek domowy. Skomponowała ponad 120 utworów i utrzymała formę wielu gatunków muzyki fortepianowej polskiego romantyzmu (m.in. mazurki, preludia, etiudy, nokturny). Jako pierwsza kobieta-pianistka, utrzymująca się z koncertowania występowała kilkakrotnie w Londynie i Paryżu, objechała też Niemcy, Włochy i Rosję, zanim osiadła w 1827 roku w St. Petersburgu. Od 1822 roku była nadworną pianistką rosyjskich cesarzowych, i wybrała St. Petersburg jako stolicę imperium, gdzie miała lepsze możliwości utrzymania rodziny z lekcji dla młodzieży z arystokratycznych domów. Prowadziła tam znany salon literacki i muzyczny, który skupiał arystokratów, literatów, artystów i muzyków – śmietankę petersburskiego towarzystwa. Salon Szymanowskiej był też otwarty dla wszystkich osiadłych i zesłanych tam Polaków, był dla nich ostoją polskości. Wieczory muzyczno-poetyckie obejmowały występy w stylu „melodramy”, czyli recytacji wierszy do akompaniamentu muzycznego, oraz formy quasi-teatralne, „żywe obrazy” („tableaux vivants”) – interpretujące sceny z literatury. Często gośćmi i gwiazdami jej salonu byli Aleksander Puszkina i Adam Mickiewicz, którego improwizacje do muzyki Szymanowskiej stanowiły ozdobę wielu wieczorów. Do kilku tekstów tego ostatniego Szymanowska skomponowała muzykę, a on napisał dla niej wiersz pochwalny w jej słynnym sztambuchu nazywając ją „królową tonów”. (Korespondencje Mickiewicza i Szymanowskiej omawia Grzegorz Szelwach w pracy wydanej przez PIASA w 2006 roku). Dodajmy, że uprzednio Goethe zobaczył w niej uosobienie *Das Ewig Weiblich*, czyli „ideału wieczystej kobiecości” i poświęcił jej wiersz *Aussöhnung*. Więcej o postaci Szymanowskiej dowiedzieć się można z pracy Sławomira Dobrzańskiego ilustrowanej jego nagraniem wybranych utworów artystki (Los Angeles, 2007) i z nowej, anotowanej bibliografii Anny Kijas (2010),

dokumentującej odkrycia nieznanych uprzednio materiałów źródłowych.

Z inicjatywy śpiewaczki Elżbiety Zapolskiej, prezesa Towarzystwa im. Marii Szymanowskiej odbyło się w Paryżu w dniach od 30 września do 1 października pierwsze międzynarodowe seminarium poświęcone znakomitej kompozytorce i pianistce. Materiały seminarium opublikowane będą w serii roczników Stacji Naukowej PAN w Paryżu, jednego z współorganizatorów tej ważnej imprezy. Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego udzielił całosci swego honorowego patronatu a w gronie organizatorów i sponsorów znalazły się najważniejsze polskie instytucje w Paryżu: Towarzystwo Historyczno-Literackie; Biblioteka Polska, organizator ciekawej wystawy pamiątek po Szymanowskiej i Chopinie, i pierwszego dnia obrad; Instytutu Polski, który opiekował się uczestnikami; oraz Stacja PAN, organizator drugiego dnia prezentacji, w tym salonu w stylu Marii Szymanowskiej, gdzie prezentowano poezję i muzykę w wykonaniu uczestników sympozjum. Krajowi organizatorzy obejmowali również Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza, gdzie znajduje się najwięcej materiałów o kompozytorce, najpierw przyjaciółce a potem teściowej naszego wieszca. Seminarium to część projektu Elżbiety Zapolskiej, *Maria Szymanowska (1789-1831), kobieta Europy*, w ramach którego wydane zostanie nagranie wszystkich pieśni kompozytorki (Acte Prealable). Z zaproszonych gości nie dojechał Sławomir Dobrzański, gdyż nagrywał w tym samym czasie swoją płytę z kompletem utworów fortepianowych i kameralnych Szymanowskiej, które ukażą się na wiosnę 2012 roku.



Zebrало się w Paryżu pełne grono badaczy z całego świata, w tym z Polski, Francji, USA, Rosji i Szwecji (muzeumliteratury.pl/paryz-pierwsze-miedzynarodowe-seminarium-maria-szymanowska-1789-1831-i-jej-czasy/).

Pierwszego dnia obrady odbywały się w

siedzibie Biblioteki Polskiej. Wystawa poświęcona Marii Szymanowskiej obejmowała fascynujące eksponaty ze zbiorów Towarzystwa Historyczno-Literackiego w tym kilka nieznanych portretów Szymanowskiej i jej rodziny, portrety osób z jej kręgu artystycznego, pierwodruki, rękopisy listów, oraz przedmioty osobiste, jak cenna biżuteria a nawet, poślółka satynowe pantofelki. Widok rzeczy, które tak „bezcennie śmiać” przeżył swoich właścicieli, zawsze napawa mnie smutkiem. Pociężyłam się na drugiej wystawie, o kręgu Adama Mickiewicza, gdzie znajduje się wspaniały, choć bardzo mało znany portret Szymanowskiej jako rzymskiej bogini w towarzystwie małego aniołka, pędzla Walentego Wańkowicza. Portret zainteresował mnie ze względu na temat mojego wystąpienia, o wizerunku własnym Szymanowskiej jako artystki-damy, który wykreowała jak prawdziwa „imażystka”, a dzięki któremu, a nie tylko swemu talentowi pianistycznemu, została nadworną pianistką rosyjskich cesarzowych, i nauczycielką hrabianek i księżniczek.

Seminarium rozpoczęła Anna Czarnocka (Towarzystwo Historyczno-Literackie w Paryżu), przedstawiając archiwa i pamiątki związane z Marią Szymanowską w zbiorach swojej instytucji, jakie można było obejrzeć na wystawie i jakie udokumentowane zostały w obszernym katalogu. Prof. Irena Poniatowska (Narodowy Instytut Fryderyka Chopina) przedstawiła kompozytorkę jako „wielką damę muzyki polskiej”, dyskutując, m.in. o jej wpływach na Chopina i jej wkład w rozwój gatunków etiudy i pieśni solowej. Francuska śpiewaczka i muzykolog, Florence Launay (autorka obszernej pracy o francuskich kobietach kompozytorkach XIX w.) zaprezentowała postać i utwory Sophie Gail (1775-1819), śpiewaczki i kompozytorki z okresu Cesarstwa i Restauracji. Maria Rose van Epenhuysen (holendersko-amerykańska muzykolog i pianistka) omówiła postać i cztery epoki stylistyczne motywowane zawieruchą historii w twórczości francuskiej kompozytorki-pianistki Héléne de Montgeroult (1764-1836), utalentowanej arystokratki, która przeżyła Rewolucję, wykładała w Konserwatorium Paryskim i pisała pieśni i utwory wokalne. Muzykę Gail i de Mongeroult usłyszeliśmy w wieczornym koncercie, w kontekście współczesnych utworów Francois-Andrien Boieldieu, i Jana Ladislava Dusek, profesora de Montgeroult. W trakcie dyskusji na temat wczesnych kobiet-kompozytorek poinformowałam o odkryciu kilkunastu polskich twórczyń z XIX wieku, o których życiu i utworach wiadomo jest wciąż zbyt mało. Kilka z tych kompozytorek skupiło się wokół księżnej Marii Czartoryskiej-Wirtemberskiej, patriotki i pisarki. Maria Wirtemberska była sponsorem projektu *Śpiewów Historycznych* Niemcewicza (1816), do których muzykę skomponowały między inny-

mi Maria Szymanowska i Księżna Zofia Zamoyska. Muzyczne interludia w trakcie obrad prezentował wybitny pianista i muzykolog Jean-Pierre Armengaud.

Obrady kontynuowano 1 października w siedzibie Stacji Naukowej PAN, wspaniałym pałacu zakupionym przez rząd polski w 1946 roku. Seminarium rozpoczął Adam Galkowski (historyk, Uniwersytet Warszawski) wykładem o dziejach rodziny Wołowskich, z której wywodziła się Szymanowska, mówiąc o ich frankistowskim rodowodzie i emigrantach do Francji. Ewa Talma-Davous (polsko-francuski muzykolog) przedyskutowała historię przyjaźni Marii Szymanowskiej i Pierre Baillota, skrzypka i kompozytora francuskiego, ilustrując wykład nieznanymi dotychczas listami i fragmentami muzycznymi. Benjamin Vogel, ekspert od historii dawnych fortepianów, omawiał instrumenty, na których grała Szymanowska, m.in. na podstawie zachowanej ikonografii (portret Aleksandra Kolulara namalowany w Rzymie, z „niemożliwą” 7-oktawową klawiaturą), a także ksiąg fabrycznych firmy John Broadwood & Sons w Londynie, gdzie pianistka kupiła fortepian w 1826 roku. Jean-Pierre Armengaud wygłosił długi wykład o technice kompozytorskiej i pianistycznej Szymanowskiej, ilustrowany fragmentami wielu utworów. Armengaud skupił się między innymi na wpływie Szymanowskiej na twórczość Fryderyka Chopina. Elena Gretchnaia (prof. literatury, Akademia Nauk w Moskwie / Uniwersytet w Orleanie) omówiła rosyjski krąg Szymanowskiej na podstawie wpisów do jej sztambuchów przez poetów i pisarzy. Ja skupiłam się na własnym wizerunku estetycznym, intelektualnym i społecznym, jaki stworzyła Maria Szymanowska i jaki został utrwalony w serii jej portretów – ważnym źródle ikonograficznym. Jej eleganckie i skromne suknie, fryzury i nakrycia głowy, wzorowane były na stylu arystokratek polskich, francuskich, i rosyjskich, jak Księżne Golicyna i Zamoyska, czy cesarzowa Aleksandra Fiodorowna, żona Mikołaja I.



Całość obrad zamknął zaimprovizowany koncert – wieczór w salonie Marii Szymanowskiej, zainscenizowany i prowadzony przez organizatorkę sympozjum, Elżbietę Zapolską.

Uczestnicy seminarium wystąpili w charakterze muzyków, śpiewaków i recytatorów. Elżbieta Zapolska, Maria Rose i Florence Launay wykonały pieśni i utwory fortepianowe Szymanowskiej, Gail, Boieldieu i Fielda. Usłyszano balladę *Alpuhara* z odczytaniem tłumaczenia francuskiego oraz *Romans Desdemony* z *Otella* Szekspira, z tekstem oryginalnym i francuskim. Maria Rose deklamowała *Leidenschaft* Goethego po niemiecku, Benjamin Vogel wpis Mickiewicza do sztambucha pianistki po polsku, a niżej podpisana własne wiersze w języku angielskim, poświęcone Chopinowi (opublikowane w antologii *Chopin with Cherries* z 2010 roku), Mickiewiczowi (*Ode of the Lost*) i Szymanowskiej.

Pierwsze międzynarodowe seminarium poświęcone Marii Szymanowskiej przyniosło wiele nowych informacji na jej temat, w kontekście kultury polskiej, francuskiej i rosyjskiej pierwszej połowy XIX-tego wieku. Mówiono o muzyce, poezji, sztuce i historii genealogicznej rodziny, ale nie pominięto i historii mody – jak przystało na Paryż w trakcie październikowego Tygodnia Mody 2011.

MAJA TROCHIMCZYK



Czy to na niby?

To ciągle poczucie oddzielenia, braku zakorzenienia, które towarzyszy mi odkąd pamiętam. Kontakty z rówieśnikami podszyte zawsze tym samym tłem – ty, czyli inny. Inny, czyli kto? I widzę brak widoków na zmianę tego stanu rzeczy, gdy pół wieku życia mam już za sobą. I nie wiem, czy mnie to wywyższa, czy poniża. Chociaż obydwie te racje już dawno przestudowałem i wynika z nich, że być wywyższonym to w gruncie rzeczy ironiczna strona poniżenia, jeżeli za prawdę przyjąć wygnanie pierwszych Rodziców z Raju. Lecz w istocie nie o to tu chodzi. Może, gdy w młodości dostrzegając owo tło zależało mi na tym w sposób nieświadomy, to przyszedł czas takiej świadomości, kiedy poczucie władzy okazało się nie tym sposobem na życie na którym mi zależy. Ta zawsze niechęć do rywalizacji...

Czesław Miłosz w *Piesku przydrożnym*, w części *Tematy do odstąpienia*, w tekście *Klucz* pisze:

Jest jeden wielki temat, klucz, który otworzy wam skarbnicę waszych nieujawnionych i nie wyznaczonych nawet samemu sobie przeżyć. A tym są chwile, kiedy zostaliście w taki czy inny sposób poniżeni. Przypomnijcie sobie, przypomnijcie – te momenty, co tkwią w was jak ciernie, zaczynajcie pastwić się nad nimi i opisywać je szczegółowo. Nie wiadomo, czego się dokopiecie, ale będzie tego dużo, a w każdym razie ta nieco masochistyczna operacja przyniesie wam ulgę.

Słowa te skierowane do początkujących pisarzy są znaczące i dobre. Z pewnością wszystko się tu zgadza. Lecz owa ulga nie jest stała. Nie przynosi w istocie zamierzonego celu. Po chwili zadowolenia ponownie pojawia się niepokój,

irracjonalny lęk. Więc kopać należy dalej. I tak codziennie, aż wytryśnie ich źródło. Trzeba wierzyć, że to nastąpi.

Gdy pomyśleć, racjonalnie głupia to wiara, bowiem nigdy nie przynosi rezultatów. By trzeba się jej wyżyć. Zastąpić ją inną, *racjonalną prawdą o życiu*, które nie jest takie jakbyśmy sobie je wyśnili. Należy przybrać odpowiednią formę, zagłuszyć niepokoje i lęki, to nieustające poczucie winy takimi działaniami, które nas od nich uwolnią. Tylko nielicznym udaje się zachować spokój (*atakować tarczą*, jak mawiał nieodżałowany Zbigniew Jerzyński) i pomimo chimerycznego czasem zachowania wychodzić wciąż obronną ręką z faktu, że jesteśmy najwyższej jako gatunek *homo sapiens* w darwinowskiej drabinie ewolucji. A wygląda to tak, jakby ktoś pod nami wylał co najmniej jeden szczebel.

A zatem trzeba być na niby. Być *dyrektorem*, czyli wiedzieć wszystko najlepiej i z wewnętrzzną niechęcią a z uśmiechem na twarzy przydawać racji podwładnym, gdy takie się pojawiają, myśląc zupełnie inaczej. *On* bowiem siłą rzeczy staje się operatorem światów wielu tak, by jego na niby było zgodne z powierzoną mu, choćby w życiu codziennym dla siebie, funkcją. To może nie być jego świat, bo ten zostawił „godząc się” na udawanie. Może wewnętrznie się z nim nie zgadzać, lecz taką ma rolę. Albo też być *podwładnym*, sumiennie wykonywać polecenia starając się by to co jest do zrobienia było wykonane należycie i stąd, chcąc nie chcąc czerpać zadowolenie nie wgłębiając się zbytnio w ich charakter i sens. Tylko dbając o to, by jego własne na niby było antidotum na wewnętrzny niepokój i lęk, wieczne poczucie winy. Było pożądaną oazą spokoju i bezpieczeństwa.

To modelowe tu przedstawienie, aczkolwiek bardzo realne w gradacji zachowań ludzkich stało się pierwszą instancją świata na niby. Inaczej być nie mogło, gdy rezygnuje się z własnego ego, nie bacząc na konsekwencje. W pierwszym przypadku pojawia się samotność władzy, w drugim jej bliźniacza siostra. Obydwa końce tego samego kija tak samo bołą.

A ono, czyli nasze ego nie jest złe, gdy wytwarzać to sobie będziemy jak mantrę, bo tylko to nam pozostaje w obliczu wygnania, czy niewiedzy. Z czego to wnoszę? W pierwszym przypadku wszystko zaczęło się od buntu anioła, który nie chciał się podporządkować zamierzonej historii Boga. Jego wińmy, a siebie pozostawmy w spokoju. Tak, tak, to nie wystarczy. Obdarzyć kogoś winą. To nam uwłacza. A zatem, gdy odpuscimy winę wężowi za jego haniebną prowokację? Czy to wystarczy? Czy zdarzenie zniknie z naszego pola świadomości? Na pewno nie. Tak jak nie wyzbędziemy się przeświadczenia o prawdziwości darwinowskiej teorii ewolucji, gdzie *homo sapiens* dzieje się najwyższej, ale jakby pod nim szczeble wylałano.

Nauka i religia, te dwie równoległe, obok siebie stojące wieże, ba potężne gmachy, które zbudował człowiek w imię unieważnienia poczucia oddzielenia, braku zakorzenienia już dawno przestały pełnić swą pierwotną funkcję. Matematyka twierdzi, że dwie równoległe linie się nie spotykają, co najwyższej w nieskończoności. A ta nie jest naszym udziałem. Zatem każda

(Dokończenie na stronie 10)

z nich żyje własnym życiem. Ta pierwsza wciąż nie odgadując zagadki życia, tak by powiedzieć: oto jest, wciąż się gmatwa i stawia hipotezy. Ta druga opierając się na dogmatach. Tu i tam dzieje się świat na niby. Tu i tam jest *dyrektor* i jest *podwładny*, ten który wykonuje polecenia i ten je wydający. W nauce poprzez racje, w religii poprzez przeświadczenie. A racji dopóty nie będzie mieć nauka, dopóki nie przedstawi bezwzględnych prawd swoich stanowisk. Einstein wcześniej przewróci się w grobie, Darwin może zamamrocze, ale nie dlatego by nie byli pewni swoich prawd, tyle że te prawdy wciąż nie dają odpowiedzi na podstawowe pytania człowieka o sens obecności, czyli nie rozwiązują problemów źródłowych. A z kolei religia mówi o swym Kościele — w szkicu *Duchowny* Czesław Miłosz w *Piesku przydrożnym* pisze:

Ależ dzieje Kościoła są pełne takich przykładów. Z pewnością mniej jest dzisiaj wśród księży ludzi żarliwej wiary. Większość z nich ma wiarę letnią albo słabą, na pograniczu niedowiarstwa. Ale dzieje Kościoła dowodzą, że kłamcy, obłudnicy i świętokradcy w jego łonie chcą nie chcą pracowali na rzecz jego trwałości, toteż i ci dzisiaj mogą być użyteczni.

A zatem życie na niby, żyjące własnym życiem. Zgoda na ten świat, który rządzi się teatrem naszych poczynań. I tylko nieliczni, dla których duch rywalizacji jest martwą tkanką, powierzchnią bytu, oddzieleni od tzw. codzienności, czy czasem nie właśnie nią, tą powierzchnią, twardą skorupą z martwych tkanek utworzoną? Będąc więc wewnątrz chaosu, płynnej masy, która stawia mnóstwo czasem sprzecznych pytań staramy się przebić, stworzyć własny korytarz i powrócić do stanu, kiedy droga do Raju była dla nas otwarta, a potem my będziemy jego obywatelami.

Przypomina mi się dyskusja jaką poczyniłem na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku, a więc czasu wielkich nadziei, gdy demokracja w Polsce była w stadium początkowym i skłaniała ku wielkiemu optymizmowi wśród przeciętnych ludzi. Nie, nie była to rozmowa o polityce, ta była paradoksalnie poza mną, choć wszystkie znaki na ziemi i niebie by wskazywały, że właśnie tym powinienem się wtedy bliżej zająć... W jednej z częstochowskich kawiarni spotkałem się z mym niedawno poznanym kolegą po piórze, później przyjacielem, lubiącym Grochowiaka i ceniącym naszych poetów tzw. wyklętych jak jeszcze w tym czasie nazywano Babińskiego, Wojaczka, Stachurę... Ja, jeszcze patrząc na Juliana Przybosa i dokonania Krakowskiej Awangardy byłem więc dobrym kompanem do dyskusji. Lecz nie o tym tutaj. Ona zesza, ni stąd ni zowąd, na sprawy bardziej istotne. Pojawił się problem władzy jako takiej. I to: dlaczego człowiek nie potrafi żyć w symbiozie z drugim człowiekiem, dlaczego nie panuje między nimi zgoda, kiedy zjawilo się pierwsze – nie, i dlaczego? Stalaliśmy się sobie wyobrazić początki gatunku homo sapiens, człowieka pierwotnego by rzec ogólnie – i nagle zjawila się wielka dziura, i słowa przestały mówić. Nie wiem czy ja, czy Rysiek Sidorkiewicz, bo o nim tu mowa, poeta z Olsztyna koło Częstochowy, ktoś przerwał tok nie mającego już zbytniego znaczenia wspólnego wywodu i stuknął palcem o blat stołu. To był chyba Rysiek. Po czym ja i tak na przemian. Stukaliśmy sobie, a obydwa tak samo brzmiały. Stuk – Stuk Stuk – Stuk. Baczyliśmy na to, aby były pod względem siły uderzenia takie same patrząc sobie w oczy. Nikt

nie chciał bardziej niż drugi. Dlatego też nikt nas nie uciszał, a kelnerka zza baru przyglądała się tylko i jej słodką tajemnicą pozostanie co sobie wtedy myślała.

Ważne jest tutaj to pierwsze uderzenie w trakcie tego, gdy myśli i intuicje przestały funkcjonować, dotarły do nieprzekraczalnej granicy. Ten instynktowny ruch ręki Ryska, uderzenie serdecznym palcem o blat stołu jest tutaj symboliczny.

Zabawa nagle ucichła nie widząc ostatecznego rozwiązania. Nie pamiętam kto przestał. A dla obrazu naszych tu rozważań nie ma to żadnego znaczenia. Obydwoje pokonani wypiliśmy pewnie po jeszcze jednej wódce.

To poczucie oddzielenia, braku zakorzenienia towarzyszy mi odkąd pamiętam. Ten świat na niby oparty na władzy, który zastałem i do którego wciąż nie można mieć przekonania. I ta z drugiej strony chęć bycia jak inni, o czym pisał Czesław Miłosz w przywoływanym już tu dwukrotnie *Piesku przydrożnym*, w tekście *Być takim jak inni*. Udamę więc „wiejskiego głupka”, chociaż wszyscy wiedzą, że tak nie jest. Udamę „wiejskiego głupka” lub dziecko, które stawia pytania podstawowe. I przyglądają mi się bacznie. Budzę konsternację. Lub jestem: człowiek – milczenie. Bo cóż mogę. Jakie spowodować słowa? Nie znam ich na płaszczyźnie racjonalnej prawdy o życiu, a w każdym razie się w nich czuję nie w swojej skórze.

Nauczyłem się lubić być sam, przechodząc obok kościoła cieszyć się z pustej gabloty, która informuje o ostatnich zgonach i dalej iść z przeświadczeniem, że to jest dobry dzień. Przyglądać się jego obecności, jakby inny nie był mi dany. A wszystko to, co dzieje się wokół było tylko snem, wymieniam dzień dobry z napotkanym przechodniem. Cieszę się, że idę.

Tłumaczę sobie czas i udaję, że to wszystko na niby, tworzę dystans między mną a otaczającym mnie światem i wciąż nie daję rady, by być *dyrektorem*, albo *podwładnym*. Nie potrafię przekroczyć granicy, gdzie o sobie zapomnę, jakby to było największym świętokradztwem, jakiego mógłbym się dopuścić.

Zgodnie ze swoim wykształceniem, miałem być magistrem inżynierem technologii budowy maszyn i to jest faktem. Z powodu splotu okoliczności jestem nauczycielem matematyki w gimnazjum. Długo by o tym mówić, dlaczego tak się stało. Jedno jest pewne, nie mam czego żalować, gdyż moja struktura psychiczna by się tam nie nadawała. Uwzięnie od siódmej do piętnastej między sprawami natury technicznej byłoby ponad moje siły. Jestem więc w tym względzie dzieckiem szczęścia. I za to jestem losowi bardzo wdzięczny. Mój czas na twórczość to poranek i godziny przedpołudniowe. Godzę to z funkcją belfra. Gorzej *podwładnego* dla *dyrektora*. Świat na niby, role jakie nam się przydarzyły, są dla mnie nie do zniesienia. Częstokroć przeraża mnie fakt mówienia nie swoim językiem. *Dyrektor* patrzac mi w oczy mówi rzeczy, o które nigdy bym go nie podejrzewał. Widzę jak spełnia swoją rolę, jak udaje i nauczył się nie wiedzieć o tym. Tak utożsamiał się ze swoją funkcją, że trudno mu lub nie potrafi oddzielić? Jak myśli schematami, przedłożonymi przez instancje wyższe tzw. wytycznymi dla prawidłowego funkcjonowania placówki. Jak jest zakorzeniony w tym świecie na niby i w tym odczuwa swoją siłę, jak mnie ze statusem poety tego zakorzenienia brak. Odczuwam irracjonalny

lęk przed spotkaniem na ulicy, a konieczne czasem kontakty wymagają ode mnie nie lada skupienia się w sobie i wciąż przypomnienia o własnej pozycji.

Pozycja poety w małym miasteczku. Nie lubię o niej myśleć. Tak jak podejrzewam nie lubiłbym w mieście dużym i gdyby moje „akcje” tam byłyby proporcjonalnie znacznie wyższe. Stąd nie tęsknię za blichtrzem. Te same działałyby się problemy, tyle że w tle by pojawiały się bardziej makro.

Świat na niby, który towarzyszy mi każdego dnia gdy tylko otworzę oczy. No może dosłownie nie wtedy. Wtedy wszystko jeszcze jest dziewicze, ale gdy wyjdę na drogę czy otworzę telewizor? Ale te pierwsze mrugnienia powiek, pojawienia poranka są naprawdę cudowne. Nowy dzień. Nic się jeszcze nie zdarzyło, poza tym że się obudziłem, wstałem. Ta cudowna chwila przynależności do świata. Chciałbym ja przedłużyć w nieskończoność, mówić o niej i opowiadać. Mieć ją na własność jak to możliwe najdłużej.

JANUSZ ORLIKOWSKI

Krystian Medard Manteuffel

...miejsce

Jerzemu Grupińskiemu

...Cypr,
górska wioska na Wyżynie Trodos
rynek małego miasteczka;
brak miejsca w gospodzie,
krzyż na gruzach kościoła
oświetlają wojskowe reflektory
bazy Unitet Nations.

Na ścianach malowidła
Krzyżowej Drogi
w bizantyjskim stylu:
jakże realne wydają się tutaj,
gdzie na gwieździstej nocy
palmy jak anioły
rozkładają nielotne skrzydła.

Tuż za ruiną
w noc jasną zanurzona góra,
sceneria ostatniej drogi;
jeszcze na murze zostały postacie
z pejczami,
malowane wrzaski gawiedzi,
omdlenie matki,
gest Cyrenejczyka,
chusta Weroniki.

Cień krzyża przesuwa się
w świetle czujnego reflektora
w załomie dawnej krypty,
w zburzonym prezbiterium,
ustrojona scena narodzin,
jak pierwsza stacja Krzyżowej Drogi...

Wieża minaretu
wskazuje spoza ruin rozgwieżdżone niebo;
psia gwiazda – niezmiennie,
jedno i to samo miejsce na ziemi

TADEUSZ ZUBIŃSKI

Z mojego kąta świata

Coś ze starych kalendarzy. Lamus, ale sympatyczny. Otóż już 17 września 1932 roku otwarto połączenie lotnicze Warszawa-Ryga. Linie lotniczą Warszawa-Wilno-Ryga-Tallinn obsługiwał trzy razy w tygodniu ośmioosobowy samolot Fokker PLL LOT. Przelot do Rygi trwał wtedy prawie 5 godzin, cena biletu wynosiła zaledwie 56 latów, gdy cena na miejsce sypialne w pociągu II klasy na tej samej trasie wynosiła 68 latów. Dziś lat to 5,6 PLN.

Ledwo weekend w Jurmala nad morzem w listopadzie okazał się bardzo ożywczy i obiecujący, a tu już przyszły święta najpierw katolickie, po nich szykują się prawosławne, czyli wszystko będzie podwójnie, toast na nowy rok też wznieśliśmy dwukrotnie.

Wkrótce spadnie prawdziwy inflancki śnieg i tak się stało, zima się sprawdza. Ryga już została bosko iluminowana, a w domach jeśli choinka to tylko żywa jodełka. Ufam, że uszczęśliwi nas solidne mrozy i można będzie przechodzić Daugawę po lodzie, i przejechać się kuligiem po łatgalskich lasach, w scenerii i w atmosferze, jak z sienkiewiczowskiego Potopu. Ja jak się rozdokazujemy, kto wie, może zajedziemy pod osobisty chutor Pana Boga. Tak, bo to prawda, że osobiste gospodarstwo Pana Boga zlokalizowane wciąż jest na Inflantach. Dla dociekliwych podaje przybliżony jego adres: Łatgalia, gmina Kantieki, jadąc z Jakubowa do Rzeżycy na jakimś 75 kilometrów należy skręcić w lewo.



Piękna Łatgalka z Atassiene

Święta były jak to święta, przeszły ale koniecznie musiały na stole, na białym obrusie znaleźć się ona – prześwieta kutia. Kutia to jedna z kresowych nazwa wieczerzy wigilijnej albo właśnie ta potrawa-legenda, w kraju poza obrzeżami tzw. Wschodniej Ściany zupełnie nieznana. Podaje przepis na kutię kresową w wersji inflanckiej, bo jest jeszcze wersja galicyjska. Bierzymy ¼ litra pszenicy – omielonej, ostatecznie może być pęczak. Moczymy przez 24 godziny w woreczku z gazy. Następnie trzeba

pszenicę sparzyć wrzątkiem, i obgotować na wolnym ogniu przez chwilę. Kolejny etap: podkręcamy ogień i pszenicę rozgotowujemy, ale nie wolno przypalić, trzeba dolewać wody, aby przez cały czas ziarno ją chłonęło, no i mieszać, mieszać na Boga. Bo przypalona pszenica nadaje się wyłącznie do wyrzucenia. Pszenica musi być miękka i rozklejona. Kolejny składnik to mak. Pół litra maku zalewamy wodą i odstawiamy na noc. Rano w tej wodzie mak gotujemy. Potem go trzykrotnie mielimy przez maszynkę, ucieramy z miodem, (można ewentualnie dosypać odrobinę cukru waniliowego). Dodajemy: posiekane orzechy najlepiej laskowe, ale można i włoskie, słodką śmietankę, startą skórkę z cytryny, można też inne bakalie, ale ostrożnie z tą szczodrością, bo łatwo przedobrzyć. Tak przyrządzony mak łączymy z pszenicą i dokładnie całość mieszamy. Kutię podajemy oziębioną – pychota gwarantowana w stylu sarmackim retro, a przy okazji koleżanki, te bardziej modern jasny szlag trafi.

Jeden z moich bohaterów literackich: Nikodem Dyżma przed wojną chadzał do cyrku na walki francuskie, a ja już znacznie kameralnie udałem się na występ ukraińskiego cyrku liliputów „Radosna Planeta”. Trzej mężczyźni, trzy kobiety w wersji mikro, trzy psy – dwa pudle, trzeci chyba mieszaniec spaniela plus 5 gołębi – w standardowych gabarytach dało znakomity półtoragodzinny show. Podobało mi się, choć nie powinno, gdyż jak powiadają Rosjanie: kto służył w armii, ten się w cyrku już nie śmieje.

W okresie świąt i początku Nowego Roku z uwagi na prawie jesienną pogodę czyli bez mrozu i opadów ulica Czaksa¹ – ruchliwa bo przelotowa arteria stolicy, która jest tradycyjnym miejscem pracy ryskich pań lżejszych obyczajów, których towarzystwo intymnie jest wyceńnione na godzinę na 15 latów, ale można się targować, gdyż oferta pań i asortyment usług są ogromne, znacznie w okresie świąt uaktywniła się. Dla szczegółarzy i tych zdeterminowanych wyjątkowo podaję, że krzyżująca się z ulicą Czaksa ulica pod szacownym wezwaniem świętej Gertrudy także stała się polem działalności ryskich cór Koryntu, ale już z mniejszą tradycją w tym zakresie, że tak się ogłędnie wyrażę. A tak historycznie, jeszcze coś też z półświatka: otóż szopkami, do dziś dnia ryska żulia nazywa muzyków np. w restauracjach no i ulicznych grajków.

W tygodniu pomiędzy Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem wybuchła afera przemytnicza. Otóż litewskie bobry doskonale przysłużyły się litewskiemu fiskusowi ujawniając przemyt papierosów z Białorusi drogą rzeczczą. Po prostu pracowite gryzonie przegryzły skrzynie ze szmugłem, splawione pod legalnym transportem drewna i te wszystkie znakomite podróby malboro itp. dosłownie wypłynęły na wierzch.

Ale święta na Inflantach są jedyne takie. Z rozmachem i polotem, takie międzynarodowe,

szczególnie te rosyjskie pieśni, z kategorii: zastolenije, rosyjski słodki stół, alkohole przeróżne, kremłowskie kuranty, i te pieprzne anegdoty opowiadane tylko dla kuriaszczych, z Gruzunami w roli głównej- pychota. Dla współczesnych Rosjan Gruzja stała się takim ich większym Wąchockiem.



Zegar Laimy w Rydze – tradycyjnie miejsce randek młodych ludzi

W telewizji rosyjskiej, która jest także retransmitowana na 3 moje ciche kraje- pierwszy bałtyjski kanał – od lat wielu w ostatni dzień starego roku leci ten kultowy film z 1975 w reżyserii Eldara Riazanowa Ironia losu – Ironia sudby² – długachny, taki zakąskowy, bo aż 184 minut. W zasadzie: liryczna komedia pomyłek i rozstań ze zjawiskowo piękną naszą Barbarą Brylską. Jedno z początkowych zdań z tego filmu: „każdego ostatniego dnia roku chodzimy do łaźni”, weszło na stałe do kanonu języka rosyjskiego. Ironia losu jest w jakiejś mierze rosyjskim odpowiednikiem naszego Misia.

Bardziej pompatycznie na dylemat, jak przywitać Nowy Rok na Inflantach? Opowiadam, można na wiele sposobów, ale zawsze toast ten najważniejszy trzeba wznieść słodkim sowieskoje szampanskoje – 0,75 litra, 11,5% alkoholu rozlewany w Rydze przez firmę Ryski Balsam. I pod gołym niebem, oczywiście, w tym roku wspólnie na ryskiej starówce tak przywitało Nowy Rok ponad 300 tysięcy osób, padł rekord.

Noc noworoczna okazała się wielce tragiczną. W rejonie Krasławskim siedmioro młodych ludzi (tuż przy granicy z Białorusią), dokładniej chłopców w wieku od 15 do 19 lat, utopiło się w mazdzie, gdy ta wpadła do rzeki. I tak to się miesza dobre ze złym, ot ludzkie losy.

¹ Aleksanders Čaks (1901-1950), właściwie A. Čadarainis, piewca i legenda ryskiej plebejskości, poeta, prozaik, tłumacz syn ryskiego szewca.

² W Polsce ten film chodził pod tytułem Szczęśliwego Nowego Roku!

Zamyślenia



„Bo jest poeta w Polsce barometrem”

– stwierdził Czesław Miłosz w swoim „Traktacie poetyckim”. A tak w ogóle, jeżeli żal mi umarłych poetów to dlatego, że nie widzą tego, co też wyrabia się w naszym kraju. Mają święty spokój po trudach ich codzienności i klęsk życiowych. Poeci na przekór woli polityków – obserwują ten świat, zarzucając swoje myśli w głąb, w przepaście, które właśnie za sprawą polityki ten świat kopie i ryje, też w twórczym mozole. Nie dziwnym się zatem, że korzenie zachwytu światem w życiu wewnętrznym poety, niestety, ale tak rzadko rodzą te najpiękniejsze kwiaty. Oto znajdujemy obecnie w rodzimej poezji symptom buntu, a nawet czarnej rozpacz. Jakże trudno sięgać grzecznie i pokornie po słowa piękne i metafory zachwycające... bo jest poeta w Polsce barometrem. I tu Miłosz miał rację. La Bruyere pytał swego czasu: „Czyś ty oszalał, aby być tak nieszczęśliwym?”. Cóż, w tym smutku bywają poeci czasami aż okrutni. Dla czytelników i dla siebie. Nic dziwnego, że czytelnicy coraz rzadziej sięgają po tomiki wierszy współczesnych poetów, jakby chcieli im powiedzieć, że stali się zbyt wyniośli w swoim pogardliwym smutku. Nic dziwnego, że trwa w twórczości poetyckiej jakaś złowieszcza monotonia, zaś twórcy poetyckiego słowa w tym rozpasanym, zgnytnym kapitalizmem społeczeństwie, po prostu stali się kłopotem, ciężarem oraz trudem. Nikt nie powie i nie napisze w recenzji – poeto, jesteś dla nas szczęściem, radością i nadzieją. Pytał kiedyś Andrzej Tchórzewski: co znaczy niezależność i suwerenność poety? Otóż, poeta Tchórzewski to być niezależnym od szkół, mód i jakichkolwiek obowiązków, z wyjątkiem normalnych powinności ludzkich. I dalej: poeta nie powinien grać roli poety, gdyż nigdy nie będzie postacią sceniczną. Poeta winien w swej niezależności być całkowicie podległy wobec doświadczeń osobistych i zbiorowych. I na koniec, wedle Tchórzewskiego: dokonując wyborów, winien przekazywać najcenniejsze doświadczenia i nie musi charakteryzować się postawą świadka, lecz dawać świadectwo rzeczywistym przeżyciom, jako obowiązek moralnego wartościowania i oceny. Zatem parafrazując strofy wiersza Miłosza, poeta w Polsce ma obowiązek być barometrem. Wiemy, czym jest to urządzenie wiszące na ścianie domu. Mój niemiecki barometr o czterech funkcjach (Stürmisch, Regen, Veründelich Schön und Trocken) zaciął się niestety i przestał działać, choć firma, która

go wyprodukowała, oświadcza, że posiada on Automatische Eichung (-). Donner Weter! Anna Kamieńska pisała: „Nie piszę wierszy, kiedy chcę, lecz kiedy nie mogę, kiedy mam zalaną krtań i zduszone gardło”. Ilu polskich poetów ma dziś zduszone gardło z racji czasu, w którym wypadło im żyć? Pewnie większość, do diabła! Oto czytając ich wiersze czujemy, jak charczy w nich jakaś niemoc oraz bezsilność. Lepiej mają się w tych czasach satyrycy. „Słuchajcie głosu poety, choćby jego głos był cieni, jak głos Giuletty...”. Nie dziwnym się, że w kryzysie doczekaliśmy się sromotnego stanu kultury literackiej. Taki jest porządek rzeczy. Poetom pozostało jedynie uważniej wpatrywać się w swoje sny i niespełnione marzenia. Niech to będzie taki ich szaniec obrony osadzony w kształcie losu im przypisanego. A może stanie się tak, iż znajdując się bliżej dna owych przepaści i jam, tym prędzej podbiją się w górę, przełamując po drodze poczucie bezsensu poetyckiego działania, w myśl zresztą Hebbela, że boleść indywidualizuje...

KAZIMIERZ IVOSSE



Emil Biela

Samotność Boga

nie jest jego samotnością
lecz osobnością podobnie jak mój cień
który nie jest podobny do mnie
nie pytam dlaczego
ponieważ lękam się prawdy

i kto to mówi o wesołych cieniach
o teatrze cieni

lubię w końcu mój cień
choćczasem chcę
aby mnie opuścił
gdyż wiem, „że kiedy się kocha,
trzeba odjechać” – tak pisał Blaise Cendrars
i wielu z powodu tej miłości odjeżdżało
czasem odjeżdżało na zawsze

Wielki samotnik powiedział wczoraj
od swego ołtarza: Bądź wychowawcą samego siebie

Wybraniec

świat otwiera drzwi nieba
widzę wtedy wyraźnie jak dobro
nas wybiera – wierzę, że każdy człowiek to
wybraniec
wschód i zachód słońca
są niczym obrotowe drzwi do nieba

Stworzyciel jasnego okna
dłoń na powitanie wyciąga
słuchając jak człowiek mówi
Ojczyznaz

obrotowe drzwi do nieba
zawsze otwarte i ciągle zamknięte
bo powrotu na ziemię nie ma

jak przekroczyć próg tych drzwi
z kim



Rys. Barbara Medajska

Oliwia Betcher

tytuły są bez znaczenia

śledzisz światła wypelzające z cudzych domów
spokojnie oddychasz nie wiedząc czy ten rytm
należy jeszcze do ciebie
a przecież jesteś tylko jednym

wspomnieniem w czyimś życiu czerwoną
smuzką
na prześcieradle koszulką z miki
lub szarym pudłem polykającym pejoratywnie
przymiotniki
zawsze kiedy brakuje słońca seksu albo sensu
szukasz wokół siebie

wiary którą mogłabyś przygarnąć bo boleśnie
nauczyl się odkąd umarł bóg nie ma
spokojnego miejsca
dla ateistów i odkąd poezja wyszła spod
strzechy poeci piszą by widzieć
„wyboldowane” nazwisko chociaż nikt nie
zauważa
że wieczorami zamykasz książki chowasz
się w zaułkach gdzie odpoczywają cienie
i umierasz z empatii

BADŹ CO BADŹ



Słowo i oko

Dla sceptycznego krytyka, który na samą myśl o uświęconych wartościach dostaje gęsiej skórki, recenzowanie najnowszego filmu Agnieszki Holland jest nie lada wyzwaniem. Cóż bowiem można powiedzieć, a – tym bardziej napisać – na temat tak oczywisty, że aż bezdyskusyjny?

O tym, że film jest wybitny, nie trzeba nikogo przekonywać, wystarczy tylko zachęcić do pójścia do kina. A jednak sceptyczni krytycy recenzowali ten film i – co szczególnie ciekawe – zrobili to znakomicie.

IGOR WIECZOREK

Do najciekawszych recenzji zaliczyć można opublikowany w „Gazecie Wyborczej” tekst Tadeusza Sobolewskiego, który, porównawszy film Agnieszki Holland do „Listy Schindlera” Spielberga i „Pianisty” Polańskiego, doszedł do wniosku, że jedynie Agnieszce Holland udało się uniknąć pewnej stereotypowości w przedstawieniu konfliktu między dobrem a złem.

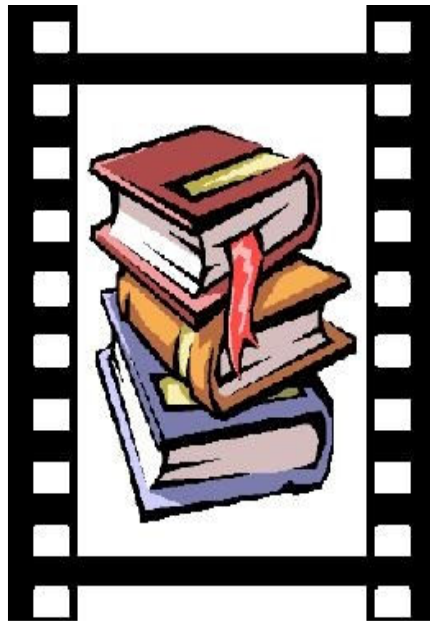
– „Tamte filmy biorą widza w kleszcze wzruszenia. Najpierw konfrontują nas z orgią zła, aby potem chwycić za gardło obrazem triumfu dobra. U Holland – inaczej – już sama koncepcja wizualna, stworzona przez autorkę zdjęć Jolantę Dylewską, rozprasza w obrazie elementy dobra w sposób nienarzucający się, ale jednak stale obecny.” – pisze Tadeusz Sobolewski. I trudno nie przyznać mu racji.

Ciekawe, czy sukces „W ciemności” skłoni literackich malkontentów i zapalonych kinomaniaków do zrewidowania poglądów na temat rzekomo nieprzekraczalnej granicy między kulturą obrazu a kulturą słowa. Nie trudno bowiem zauważyć, że w miarę rozwoju mediów wizualnych i w miarę obniżania się poziomu czytelnictwa obserwatorzy kultury coraz wyraźniej dzielą się na smętnych misjonarzy słowa i beztróskich propagatorów obra-

zu. Ci pierwsi twierdzą niezmiennie, że rozwój mediów wizualnych prędzej czy później doprowadzi ludzkość do apokalipsy, ponieważ kultura obrazu nie jest kompatybilna z gospodarką opartą na wiedzy naukowej, a pomiędzy obrazami i wiedzą istnieje sprzeczność, która już teraz owocuje coraz większą irracjonalizacją życia społecznego i gospodarczego.

Propagatorzy obrazu widzą ten problem inaczej. Ich zdaniem jest oczywiste, że skoro z badań naukowych wynika, że ponad 80% informacji dociera do ludzkiego mózgu za pośrednictwem zmysłu wzroku, to rozwój mediów wizualnych jest po prostu wyraźnym przejawem przyspieszenia tempa ewolucji.

– „Co z tego – pytają zazwyczaj – że za pomocą obrazu nie można wyartykułować takich kategorii jak równość czy wolność? Co z tego, że obraz nie daje nam wglądu w obszar metalogiki i uniemożliwia zanegowanie sensu przedstawionej treści, skoro słowa zawierają tylko niewielki procent informacji przekazywanej w rozmowie, a zdecydowana większość informacji przekazywana jest przez mimikę, ton głosu, gesty i inne niewerbalne czynniki, takie jak chociażby. kojarzenie pamięciowe?”



Uderzające jest to, że propagatorzy obrazu i misjonarze słowa nie dyskutują o tym, że słowo też jest obrazem – tyle, że zakodowanym w nieco odmienny sposób.

Czyż nie jest aż zbyt oczywiste, że sukces filmu „W ciemności” jest w dużym stopniu sukcesem książki „W kanałach Lwowa” autorstwa Roberta Marshalla i bestsellerowej autobiografii Krystyny Chiger pt. „Dziewczynka w zielonym sweterku”?

Wymownym dowodem na to, że obraz wzbogaca słowo są właśnie filmowe adaptacje utworów literackich. Słowo wynika z obrazu, a obraz wzbogaca słowo. Współistnienie tych zjawisk jest czymś tak naturalnym, nieuniknionym i dobrym, że przerażająca wizja cyfrowej apokalipsy wydaje się równie nadętą jak wizja świata wolnego od radia i telewizji, a zamieszkałego wyłącznie przez czytelników książek.

Marek Jerzy Stępień

Płonąca kula

Pytasz dokąd się toczy ta płonąca kula
zastygając w gniewie oślepią blaskiem
a nad nami niebo różowieje i gaśnie
przeskakują iskry pomiędzy
biegunami istnienia

wybacz że nie odpowiem inni także milczą
jesteś niepokojem bo kończy się jesień
ptaki odlatują za horyzont czasu
doświadczamy z pokorą opadania liści

udawaj że nie widzisz nie kierujesz lotem
może coś ją powstrzyma a za dzień albo
miesiąc
wybuchnie na obrzeżach wchłonie ją ocean
jeżeli kogoś zrani – ty będziesz daleko

Pragnienie sensu

Na zboczach gór niespokojne morze
przelewa się pomiędzy biegunami dni
od brzegu do brzegu kreatywny czas
wypełnia je listowiem
płomiennego uczucia

przeważnie przesypiamy jego narodziny
metaforę barw na wzgórzach –
coś wyłoniło się z przestrzeni
i już powraca niespełnione

tylko dotyk nas ocali
zapach świeżego drewna
pragnienie ludzkiego sensu:
domu zbudowanego na skale

Doświadczenie Boga

Co płynie nad wąwozem nie zawsze jest
chmurą
choć patrzący z rozwagą dostrzegają ciemność
ona emanuje przenoszonym blaskiem
na przekór doświadczeniom
wrytym w zbiorowej pamięci

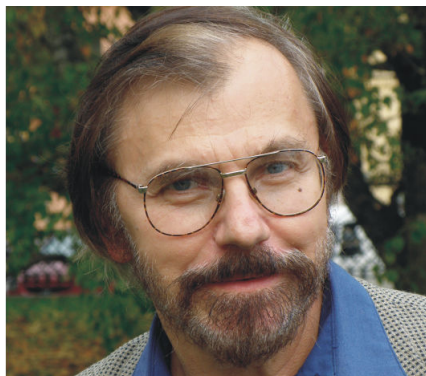
zamknięte usta nie opowiedzą szczęścia
nawet iskra skrzesana uczuciem
nie rozpali wzajemności w marmurowych
sadach
jakie zakładamy milczeniem

a ono wciąż powraca i wypełnia życie
coraz bliżej domów radosna muzyka
otworzy dla niej okna uszczelnione lękiem
i pozwólmy się unieść wstępującym dźwiękom

spoza chmur których nie ma wyłoni się obraz
będzie drżał i zniknął w zwątpieniu człowieka



Listy do Pani A. (43)



Kilka festynów i pogrzeb

Droga Pani!

Choć już luty, to jeszcze wracam do początku roku, bo mam w pamięci te wszystkie fajerwerki rozpryskujące się nad Warszawą, ten znak absurdalnej radości, że oto znowu jesteśmy starsi. I w innej rzeczywistości się budzimy. A w jakiej mamy się budzić, kiedy u steru rządu stoją blagierzy, oszuści, uprawiający kłamliwą propagandę sukcesu? I rzeczywiście odniosą sukces – społeczeństwo zdechnie z braku lekarstw i pracy, a oni wtedy urządzają sobie wesołą stypę na mogile narodu. To są prawdziwi „wrogowie ludu” – bo aż się prosi, by wrócić do tej nazwy tak częściej w czasach stalinowskich. Zaborcy tak nie okradali nas bezczelnie, jak robią to sami „Polacy”, którzy dorwali się do rządów. Ale zawsze tak jest, że naiwni robią rewolucje, męty dochodzą do władzy. A my składaliśmy sobie życzenia, w które i tak nikt nie wierzył...

W dodatku szaleje kryzys, Iran się zbroi, a nasi idioci reformują służbę zdrowia. W 1912 roku zatonął Titanic, umarł Prus, urodziła się moja matka, i zapewne było jeszcze kilka innych klęsk... Oj, i ten nasz rok zapewne będzie podobnie wesołutki!

Jednak i ja uległem sylwestrowo-wybuchowej presji, więc nie powinienem rzucić kamieniem. Oto nasz mały sąsiad, Krzys, syn Starej Basi, o której już nieraz Pani pisałem, dostał od ojca bardzo efektowne fajerwerki. Wyszliśmy więc przed dom, w miejsce bezpieczne. Basia podpaliła arsenał i krokiem spłoszonej sarenki odbiegła od wyrzutni. Zaczęła się kanonada, nawet to ładnie wyglądało, a trzaskające iskry tuż nad łbem dodawały emocji.

Wesoła była też Wigilia w Związku. Pięknie podsumował to Marek Wawrzkiwicz. Powiedział, że przykro, iż tak mało osób przyszło, ale przykrość ta jest podszyta radością, że dla wszystkich wystarczy. I rzeczywiście, jedzenia było dosyć, bo i catering był zamówiony z „Lite-rackiej”, i każdy coś tam przyniósł. Ania zrobiła znakomitą – jak zawsze – sałatkę jarzynową. Na Wigilię, prócz kilku nawiedzonych bab i jednej wariatki, która twierdziła, że sfinansowała Warszawską Jesień Poezji (!), byli ci, co być powinni, m.in. Manasterscy z dziećmi. Mały Maksio Manasterski bardzo się dopytywał o Joasię, kiedy ona przyjdzie, ta ładna dziewczyna.

Różnica wieku pomiędzy nim a Joasią jest nieco mniejsza, niż pomiędzy nami, ale my za to mamy większą świadomość damsko-męską. Chociaż... nie wiadomo, co lepsze.

Tu przypomniał mi się pewien niedawny dialog z Anią. Oto pokazują w telewizji pary mających się ku sobie staruszków. Komentarka mówi optymistycznie: „Miłość nie boi się metryki.” A ja coś o tym, że nie wierzę, bo ja bym się bał. Ania uściśla: „bo to ty się boisz, a nie miłość.” A ja na to cynicznie: „tak, bo miłość, w przeciwieństwie do mnie, jest ślepa...”

Trudno jednak być ślepym na rzeczywistość, która się nam zewsząd narzuca. Od pewnego czasu bombardowano nas z telewizora orszakami Trzech Króli. Nie lubię sprowadzania jakichkolwiek świąt do ich ludycznego wymiaru. Jest to profanacja, zacieranie metafizycznego wymiaru. Już pisałem Pani dużo wcześniej, jak to wyglądało, kiedy znalazłem się parę lat temu w środku takiego orszaku. Normalnie myślący człowiek czuje się w tym tłumie jak idiota. Dziwi mnie, że teraz nawet rektorzy wyższych uczelni poprzebieżeli się za... Trzech Ciuli, przeszli w orszaku po to, by złożyć jakiemuś tam biskupowi dary, czyli złoto (czyt. złotówki), kadzidło (tego ci u nas dostatek) i mirrę (żeby się zabal-samował?). Nie mam nic przeciwko zabawom, wyglupianiu się, poczuciu humoru, ale nie ze względów politycznych. Co innego jakieś juwenalia, festyny, igry ze studentami, szeroka, spontaniczna integracja, a co innego taki nadęty i wernopoddańczy orszak. Poza tym wąpiewać się szczerze tego wszystkiego. Ci sami faceci defilowali by do Stalina, albo do sekretarza najbliższego komitetu PZPR, byle tylko wydać się słusznymi. Mentalność ta sama, tylko zamienniki inne. Czy przyzna mi Pani rację?

Joasia chciała konieczność wziąć udział w biegu, w ramach Wielkiej Orkiestry Świątecznej Pomocy. To rzeczywiście wspaniała akcja, w której warto brać udział. Wystąpiła się heroicznie w kolejce, a potem okazało się, że nic z tego. Kolejka się rozproszyła, nikt nad tym nie pannał, bałagan okropny, tak więc nie udało się jej startować. W ogóle zaobserwowałem jakąś, niestety, tendencję spadkową: dużo mniej ludzi, żadnego entuzjazmu, kwestarze jacyś niemrawi, ludzie mało ofiarni, bo nie mają pieniędzy. Pamiętam dawniejsze orkiestry, które tętniły życiem, były prawdziwymi festynami, choć nieraz był duży mróz, nie to co teraz. Można powiedzieć, że na pl. Defilad była tym razem zaledwie Średnia Kapela, a nie Wielka Orkiestra. A szkoda! Takie przynajmniej odniosłem wrażenie. Spotkaliśmy się tam z Renatą i Basią (małą), która wraz z koleżanką, kwestowała dzielnie podstawiając ludziom puszkę. Coś tam zebrały, ale powtarzam, kilka lat temu było nieporównanie lepiej.

A w Związku bez zmian. Nie wiadomo, czy następna Warszawska Jesień Poezji się odbędzie. Chociaż co roku mamy zawsze te same wątpliwości i obawy, a potem JWP jest.

W momencie, kiedy bardzo nie chciało mi się ruszać z domu, zadzwoniła Wala Trzcinińska i przypomniała mi o wieczornej promocji książki Bohdana Drozdowskiego „Tańczący z duchami”. Bohdana znam od niepamiętnych czasów – od wczesnych lat siedemdziesiątych, kiedy zetknęliśmy się w redakcji „Poezji”. Przemogłem

się i poszedłem. O samej książce i autorze ciekawie mówił Łukasz Szymański. Drozdowskiego nie było, jest schorowany, chyba nie wychodzi z domu, pokazano tylko na ekranie krótką migawkę filmową z jego udziałem.

Pomyślałem sobie, że pokolenie się wykrusza, a tu następnego dnia hiobowy telefon od Aldony Borowicz. Umarł Krzysztof Gąsiorowski. Długo chorował na nowotwór krtani, więc niby to wszystko było do przewidzenia. A jednak zawsze zaskakuje, bo jakże dojmująco potwierdza i naszą śmiertelność.

Krzysztofa poznałem w 1969 roku w redakcji „Współczesności”. Przyniosłem mu wiersze do oceny, które wydrukował. Spotykaliśmy się potem wielokrotnie. Mówił o moich utworach, gadaliśmy o literaturze. Był to jeden z idoli naszego pokolenia – jeden z najwybitniejszych poetów „Orientacji”, żywa legenda literacka. Już dużo później regularnie spotykaliśmy się na zebraniach w Związku, w których uczestniczyłem już jako członek Zarządu, a on jako honorowy prezes.

A teraz – pogrzeb, Skromna urna z prochami w kościele cmentarnym na Bródnie, strasznie głupie, infantylne kazanie, w którym nie padło ani jedno słowo o jego wielkiej poezji. Powiedziałem do Grażyny Gnarowskiej, że za to kazanko kazałbym księdza spalić żywcem. Po prostu szablon wyuczony na pamięć, w który wystarczy tylko wkleić imię nieboszczyka, i można tak gadać do końca świata. Ale kasa za to leci, i to w tym katolickim interesie jest najważniejsze.

Na internetowej stronie ZAiKS-u skandaliczna notka o śmierci poety. To nic, że zdawkowa, ale – widocznie jakiś dawny, zaangażowany szpicel i szkodnik, może chcąc sam poczuć się lepiej – napisał na zakończenie, że niejaka Joanna Siedlecka w swojej książeczynie doniosła, iż Krzysztof ponad dwadzieścia lat współpracował z SB. Podłość, małość. Ale ta kanalia, ten szpicel, zgnije, a poezja Gąsiorowskiego przetrwa nas wszystkich. Wielu już przetrwała, my jeszcze na chwilę zostaliśmy. Rysiek Ulicki, który jest wiceprezesem ZAiKS-u, kiedy to zauważył, zrobił awanturę i kazał haniebne zdanie natychmiast usunąć.

Potem w Domu Literatury kameralne spotkanie z rodziną Zmarłego i przyjaciółmi. Wspomnieniom nie było końca. Wspominaliśmy świat, który odszedł, miłości, które przemigły, bo nic nie jest trwałe na tym świecie. Potem z Markiem Wawrzkiwiczem i Aldoną Borowicz siedzieliśmy jeszcze długo, czytaliśmy wiersze Krzysztofa i Marka, który był wielkim przyjacielem Gąsiora, i wlewaliśmy w siebie „to – powiększające szkło”. Brakowało mi Pani, bo poczułem dojmującą samotność. W końcu i ja staję się obywatelem pokruszonego świata.

Wracałem potem, przed północą, przez park Morskie Oko. Padał wielkimi płatami śnieg. Świeciły stylowe latarnie. Jaka poetycka sceneria! Przypominały mi się słowa starej piosenki „podaj dłoń w tę czystą jasną chwilę”. Nie miałem komu jej podać. I tu przyszedł mi na myśl wiersz Staszka Grochowiaka „podaj mi rękę trumienko”. Takie nami rządzą paradoksy.

Pomimo wszystko pozdrawiam Panią serdecznie, nie tracąc optymistycznej nadziei –

STEFAN JURKOWSKI

Rozmyślania

Zmarła
Pani Poetka...

1 lutego, wieczorem, usłyszeliśmy wiadomość, że nie żyje Wisława Szymborska, poetka, laureatka literackiej Nagrody Nobla. Jak poinformował jej sekretarz Michał Rusinek, poetka zmarła we śnie. A więc odeszła tak, jak żyła: cicho, delikatnie, bez kamer i medialnego szumu, którego nigdy nie znosiła. Była zaprzeczeniem współczesnego poety. Nie narzucała się nikomu, rzadko uczestniczyła...

ANDRZEJ DĘBKOWSKI

Można by powiedzieć, że żyła tylko dla siebie – ewentualnie dla bardzo wąskiego grona przyjaciół, chociaż prywatnie Szymborska lubiła przebywać z ludźmi, którzy tak jak ona, potrafią oddać się literackiej zabawie. Była mistrzynią w pisaniu limeryków i czasami można było odnieść wrażenie, że tak naprawdę to właśnie ten rodzaj literackich zmagani sprawiał jej największą radość.

Była ujmująco skromna, a o największych sprawach potrafiła pisać niezwykle prosto. W uzasadnieniu werdyktu przyznanej jej w 1996 roku Nagrody Nobla Akademia Szwedzka napisała, że Szymborska tworzy „poezję, która z ironiczną precyzją pozwala historycznemu i biologicznemu kontekstowi ukazać się we fragmentach ludzkiej rzeczywistości”. Tej tezie pozostała wierna do samego końca.

Czesław Miłosz pisał w „Tygodniku Powszechnym”: „Dla mnie Szymborska jest przede wszystkim poetką świadomości. To znaczy, że przemawia do nas, równocześnie z nią żyjących, jako ktoś z nas, chowając swoje prywatne sprawy dla siebie, poruszając się w pewnej od nas odległości, ale zarazem odwołując się do tego, co każdy zna z własnego życia”.

Odeszła ostatnia z wielkich – najpierw Herbert, później Miłosz, a teraz Szymborska... Kończy się pokolenie, dla którego poezja była

sensem życia, którzy poprzez poezję wyrażali nie tylko siebie, ale byli zwierciadłem wszelkich ludzkich poczynań i działań...

Wisława Szymborska urodziła się 2 lipca 1923 roku. W metryce poetki wymieniono Bnin, przekazy rodzinne głoszą jednak, że urodziła się w Kórniku. Z Wielkopolski rodzina Szymborskich przeniósł się do Krakowa.

Jako poetka Szymborska zadebiutowała w marcu roku 1945 wierszem „Szukam słowa” w dodatku do „Dziennika Polskiego”. Pierwszy opublikowany tomik to „Dlatego żyjemy” (1952). Krytycy oceniają, że dopiero wydany w roku 1957 roku tom „Wołanie do Yeti” stał się właściwym debiutem poetki; widoczne są już w nim charakterystyczne cechy jej poetyki – aforystyczność i stosowanie paradoksu jako podstawowej figury retorycznej.

Kolejne tomy jej wierszy to: „Sól” (1962), „Sto pociech” (1967), „Wszelki wypadek” (1972), „Wielka liczba” (1976), „Ludzie na moście” (1986), „Koniec i początek” (1993), „Chwila” (2002), „Dwukropek” (2005) i „Tutaj” (2008).

Oprócz Nagrody Nobla Wisława Szymborska otrzymała wiele prestiżowych wyróżnień między innymi nagrody – im. Herdera, im. Goethego oraz nagrodę Kościelskich. W 2001 roku dostała dyplom honorowego członka Amerykańskiej Akademii Sztuki i Literatury. W ubiegłym roku prezydent Bronisław Komorowski wręczył jej na Wawelu Order Orła Białego.

Wiersze Wisławy Szymborskiej przetłumaczono na ponad 40 języków, m.in. na: angielski, francuski, niemiecki, holenderski, hiszpański, czeski, słowacki, szwedzki, bułgarski, albański i chiński.



Wisława Szymborska

Śmierć, tak wybitnej poetki, spowodował także i to, że odezwały się głosy niezwykle krytyczne, że w latach 50. zbyt mocno zaangażowała się politycznie, że pisała bałwochwalcze wiersze na cześć Stalina i partii. Także w ostatnim czasie wypowiedzi poetki znacznie różniły się od tego, co przekazywała nam z swoich wierszach. Wydaje mi się, że najpełniej ujęła to poetka Ewa Zelenay na swoim blogu:

Myszę, że gdzieś na przestrzeni mojego dojrzenia poetyckiego – nasze drogi rozeszły się, zgięły... a może nie rozeszły, może przyszedł mój czas wyfrunięcia spod skrzydeł... czas na własny, wywołony lot...

Oczywiście z nadzieją że znajdę moje stare wzruszenia w Jej nowych wierszach kupowałam kolejne tomiki, ale „Po Noblu” – nie zachwyciło

mnie już nic co pisała.

Miałam wrażenie, że poszukuje nowego bardziej współczesnego języka – ale nie był to już Jej język!

Literatura starzeje się szybko, poezja wolniej ale równie nieublaganie.

Moi koledzy poeci, kiedy dyskutowaliśmy o poezji Szymborskiej, zwrócili moją uwagę na zasadniczy brak czegoś nieuchwytnego i ulotnego co unosić się powinno nad wierszem.

Czegoś, co bez wątpienia miał Gałczyński, Leśmian i nawet Osiecka – tej łezki w oku, zaczerpniętej mgiełki nad opisywaną chwilą – tego czegoś, co nas niesie, kołysz, pieści...

Wisława
Szymborska

Nic dwa razy

Nic dwa razy się nie zdarza i nie zdarzy. Z tej przyczyny zrodziliśmy się bez wprawy i pomrzemy bez rutyny.

Choćbyśmy uczniami byli najtępszymi w szkole świata, nie będziemy repetować żadnej zimy ani lata.

Żaden dzień się nie powtórzy, nie ma dwóch podobnych nocy, dwóch tych samych pocałunków, dwóch jednakich spojrzeń w oczy.

Wczoraj, kiedy twoje imię ktoś wymówił przy mnie głośno, tak mi było, jakby róża przez otwarte wpadła okno.

Dziś, kiedy jesteśmy razem, odwróciłam twarz ku ścianie. Róża? Jak wygląda róża? Czy to kwiat? A może kamień?

Czemu ty się, zła godzino, z niepotrzebnym mieszasz lękiem? Jesteś – a więc musisz minąć. Miniesz – a więc to jest piękne.

Uśmiechnięci, współbjęci spróbujemy szukać zgody, choć różnimy się od siebie jak dwie krople czystej wody.

JÓZEF BARAN

PRZYSTANEK MARZENIE (17)

(FRAGMENTY)



Statycy i dynamicy

Nina Berberowa (1901-1993), rosyjska pisarka, która żyła bardzo długo na emigracji – m.in. w Paryżu, ale także w Stanach Zjednoczonych – i osiągnęła sukces literacki w podeszłym wieku – w autobiografii pt. *Moje podkreślenia* czyni proste i kapitalne rozróżnienie, dzieląc ludzi na „statyków” i „dynamiczków”. Pisze:

„W ciągu długiego życia, spotykając się z ludźmi, zrywając się z nimi albo oddalając od nich, prowadząc z nimi grę – poznałam, że istnieją ludzie, których »można wyczerpać« w ciągu jednego wieczoru (albo w ciągu tygodnia czy roku) i istnieją natury niewyczerpalne, bo wciąż w nich coś się dzieje, porusza się, funkcjonuje, drga, znika i znowu się pojawia. Obracając się tam jakieś kółka, pracują sprężyny, przesuwa ją tory, otwierają się szlabany, migają semafor, z czasem wydaje się nawet, że słychać, jak pod ich czaszką wre praca; sunie taśma, świszczą pasy transmisyjne, huczą silniki. Z ludźmi statycznymi stosunki są ustabilizowane całkowicie na płaszczyźnie wzajemnych sympatii, a czasem przywiązania. Przez lata trwa owa »mała rozmowa«, która zawiązała się przypadkiem i do niczego nie prowadzi. Z ludźmi dynamicznymi przygotowani jesteśmy na najbardziej frapujące niespodzianki i najbardziej niespodziewane zmiany”.

Jak widać z tych zdań i z dobranych przez pisarkę określeń – „statycy” (znaczenie z lekka pejoratywne) i „dynamicy” (zabarwienie raczej dodatnie) – sympatia autorki lokuje się po stronie dynamiczków, bo i sama pisarka była osobą niesamowicie „ruchliwą” wewnątrznie.

Wyobraźmy sobie, że idąc krok dalej niż Berberowa, nazwiemy dynamiczków – naturami twórczymi, a statyków – nietwórczymi, wtedy uczynimy jeszcze mocniejsze rozróżnienie. Ale gdybyśmy zmienili określenia i nazwali statyków osobami stałymi, a dynamiczków zmiennymi, statyków – uporządkowanymi, a dynamiczków – bałaganiarzami, wówczas ci pierwsi będą godni szacunku... Wszystko zależy od punktu widzenia i od tego, kto ustala ów punkt widzenia: artysta, ksiądz, polityk, buchalter, gosposia domowa?

Wyobraźmy też sobie, że w czasie ślubu dynamiczka i statyczka przyrzekają sobie absolutną wierność. Oczywiście daleko łatwiej będzie tej wierności dochować statyczce niż dynamiczkowi, od którego wręcz nie sposób wymagać podobnego przyrzeczenia., bo jest ono niezgodne z jego zmienną naturą. Zdarzały się udane związki ludzi z natury pragnących zmian, ale pod warunkiem, że linie ewolucji tych zmian obojga biegły jak dwie szyny, po których pędzi pociąg – w podobnym kierunku...

Po namyśle wprowadziłbym też może małą i nieodzowną korektę do typologii ludzkiej Berberowej i powiedziałbym, że u większości ludzi, a przynajmniej u mnie, istnieje zarówno potrzeba stałości, jak i zmienności. Tylko, że u dynamiczków te proporcje potrzeb stałości do zmienności są inne niż u statyków. Z wiekiem zresztą ulegają zmianie. Nawet najbardziej dynamiczni ludzie na starość opowiadają się w większym stopniu niż w młodości za spokojem i stabilizacją, a więc przystają do statyków, choć w młodości byli dynamiczami. Znałem rozpustników, którzy po okresie „burzy i naporu”! tzw. wyszumieniu się, zmęczeni życiem statkowali się przy boku młodych żon, wymagając od nich stałości i wierności, a więc tego, co było dotychczas przeciwieństwem ich zasad.

Te *rozważania* dotyczą także mnie, moich perypetii życiowych i relacji z ludźmi: najbliższymi (łącznie z żoną), bliskimi i dalszymi. Pewne *przyjaźnie* wcześniej czy później *zużywają* się, wyczerpują itd., więc istnieje potrzeba zawiązywania nowych, bo tego organicznie domaga się twórcza strona mojej natury, dzięki której do dziś pozostałem kreatywny jako poeta, co mnie zawsze niezmiernie dziwi, bo ileż to razy byłem pewny, że wszystko już w sobie wyczerpałem.

Tak powinno wyglądać całe życie!

Podczas jednodniowego pobytu w Porębie Wielkiej w Gorcach poznałem młodego zdolnego pisarza Rafała Wojasińskiego i jego zgrabną żonę Kasię z głową pięknej Azjatki. Spotkaliśmy się na uroczystości wręczenia nagrody Orkana, którą celebrował Bolesław Faron na – nomem omen – „Orkanówce”. Powinna się ona raczej nazywać „Wydmuchówka”, bo wiało jak cholera na tej gorczańskiej górze.

Po wypiciu paru kielichów zdecydowałem się stamtąd wiać jak najszybciej do domu, korzystając z okazji, że Wojasińscy jechali autem do Warszawy przez Kraków.

Ale... od kieliszka do butelki, od butelki do drugiej flaszki... podróż stawała się coraz barwniejsza, rozmowy z Rafałem, Staszkiem K. i Kasią coraz błyskotliwsze, atmosfera coraz przytulniejsza, więc w Krakowie zdecydowałem się nie wysiadać i pędzić razem z nimi do stolicy, tym bardziej, że miałem w Warszawie parę rzeczy do załatwienia. Zresztą, czego się nie robi dla towarzystwa, pewien Cygan dał się nawet powiesić...

Wylądowaliśmy w Warszawie o trzeciej nad ranem i była to szarża jak za dawnych lat, skoro Rafał napisał mi później w liście, że do dziś wspominają z Kasią tamten szalony sobotnio-niedzielny przejazd. „Tak powinno wyglądać całe życie!” – skonstatował.

Rafał lubi mieszać literaturę z życiem. Szczególnie jego druga książka: *Przyjemność życia* kojarzy mi się ze słynnym zawołaniem Stachury, że „wszystko jest poezją”. Rafał jest niesiony na skrzydłach wyobraźni i pisze, pisze, pisze, stwarzając świat, w jakim chciałby żyć. Ba, zmienia miejsca pobytu, zawody, chcąc żyć tak, jak pisze. Ale już zaczyna podejrzewać, że życie to nie tylko barwna przygoda, sensacyjny film, lecz – o czym my starzy już doskonale wiemy – długi, przestoje, cierpliwe czatowanie na błyski fantazji, codzienność tylko czasami niecodzienna. Słowem – niekiedy nudny serial dni i miesięcy, z którego pisarz jak operator wykrawa co ciekawsze chwile, żeby jego opowieść na papierze zapierała dech w piersiach. Nie da się ukryć – pisarstwo to kuglarstwo, poezja to stwarzanie pięknych złudzeń, czary-mary odprawiane nad rzeczywistością.

W Warszawie Marian Pilot, wielki smakosz polszczyzny, objawił mi, że powstało nowe słowo polskie „luknij” (popatrz) od angielskiego słowa „look”.

Opowiedział mi też zabawną scenkę rodzajową. Podchodzi do kiosku ruchu i widzi, jak oburzony mężczyzna krzyczy na sprzedawczynię: „Co mi pani daje za papierosy! Przecież prosiłem o te z rakiem!”.

Co się okazało? Otóż na jednym opakowaniu było ostrzeżenie, że „palenie grozi rakiem płuc”, a na drugim: „palenie grozi impotencją”. On nie chciał zostać impotentem, wolał raka...

Staszek Kobsusz dał mi natomiast ciekawy wykład z mikrobiologii. Na naszej skórze i wewnątrz bytuje parę kilogramów najprzeróżniejszych mikroorganizmów, o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia, mimo że ta mikroflora bakteryjna jest starsza od nas, ludzi, bagatela!, o parę miliardów lat i mimo że uzależnione jest od niej nasze zdrowie. Nauka może nazwać i zdefiniować tylko mały procent z sumy tych niedostrzegalnych gołym okiem, a i pod mikroskopem, „mikrusów”. Pomyślałem, że to samo możemy powiedzieć o sobie i naszej sytuacji egzystencjalnej. Skąd się wzięliśmy, po co żyjemy i co będzie z nami dalej? Też nie umiemy na to odpowiedzieć. Mały procent Wiadomego zanurzony w Oceanie Niewiadomego – oto nasze życie widziane z Punktu Widzenia Ostateczności.

Przystanek Marzenie

Brzesko, pierwsze wiosenne dni

Miasteczku do twarzy z zachodem słońca. Dziewczynie siedzącej obok mnie na przystanku autobusowym również. Ma wydatne wargi, duże niebieskie oczy i dwa pszeniczne warkoczki. Ale sandały jakieś sfatygowane i kiedy się do mnie uśmiecha, można zauważyć brak dwu zębów. Zwracam się do niej: „pani” albo „pani Lidio”, co sprawia jej przyjemność.

cdn.



W poszukiwaniu punktu metafizycznego

Poszukiwania metafizyczne stały się obecnie bardzo modne, choć sama metafizyka uległa prywatyzacji i najczęściej jest budowana w oparciu o osobiste przeżycia, myślenie istotne pojedynczych istot ludzkich, które nie tylko pytają skąd pochodzą; jaki sens ma ich istnienie?, ale również starają się w świecie lub poza nim wskazać ów bezwzględny punkt metafizycznego odniesienia dla istnienia siebie i świata, w którym są bytowo zakorzenieni. Taką drogą podąża również poezja **Andrzeja Waltera** w interesującym tomiku pt. „Punkt rzeczy znalezionych”. Zamieszczone w nim wiersze to niewątpliwie próba wskazania krok po kroku podstawy metafizycznej naszego współczesnego świata złożonego z symulacji rzeczywistości i wirtualności, w których twórczość i sztuka mają niewiele do powiedzenia, choć są kluczowe w kwestiach istotnych dla życia człowieka.

Autor, jako utalentowany fotograf i poeta, ale i posiadający wiedzę kosmologiczną, publikuje cykl utworów, starając się sprawozdawać jego osobiste doświadczenia z poszukiwania owego fundamentalnego „punktu” – podstawy wszelkiego istnienia. Byłby on tą „wieczną” podstawą sztuki, wiedzy, ale i codziennej egzystencji. W przedmowie do zbioru Walter pisze m.in.: „Co znaczy tu być? W zasadzie nic innego, jak doświadczać czasu”. Dla poety – za Karlem Rahnerem – „Czas staje się absurdem, jeśli nie może osiągnąć swojego spełnienia. Możliwość wiecznego trwania byłaby piekłem pustego bezsensu. Żadna chwila nie miałaby swej wagi, ponieważ wszystko można by odłożyć na pozabawione treści „później”, które zawsze nadchodziłyby z niezawodną pewnością”. Poecie idzie więc o to, by w jakiś sposób, głównie przez sztukę fotografii i słowa, ten czas unicestwić, zatrzymać, uratować to wszystko, co ludzie kochają, uwielbiają, i co ich buduje, umacnia, odsyłając właśnie do tego metafizycznego punktu odniesienia, który na gruncie religii nazywany jest Bogiem. Doświadczenie estetyczne związane z tworzeniem jest właśnie formą – według poety i fotografa – docierania poza stawianie się świata zatrzymanego w obrazach i słowach, sygnalizujących jego wieczność, ów punkt, podstawę bytową, do której nie ma jednak jasnego i bezpośredniego dostępu, ale jawi się pewną koniecznością dla wszystkich rzeczy, i który również rodzi siłę budującą przyjaźń oraz miłość między ludźmi we wspólnotach. W wierszu „Sztuka jest” poeta tak oto definiuje swoją postawę artystyczną i sens wszelkiego tworzenia: „(...) sztuka jest brakiem spełnienia / i spełnieniem braku / jest / bo nie mamy zbyt wiele / do stracenia”.

Innym motywem, który autor stara się uchwycić w sposób szczególnie jest dominujący obecnie model funkcjonowania człowieka w świecie. Walter widzi go jako zjawisko tak przyspieszone, że osiągnęło stan niekończącego się rozpadu, który skazuje, a wręcz wymusza, ślepe tworzenie słów i obrazów z nadzieją, że trafią w ludzi i ich osobiste światy i jakoś ich połączą, ratując ich wspólnoty przed tym kataklizmem

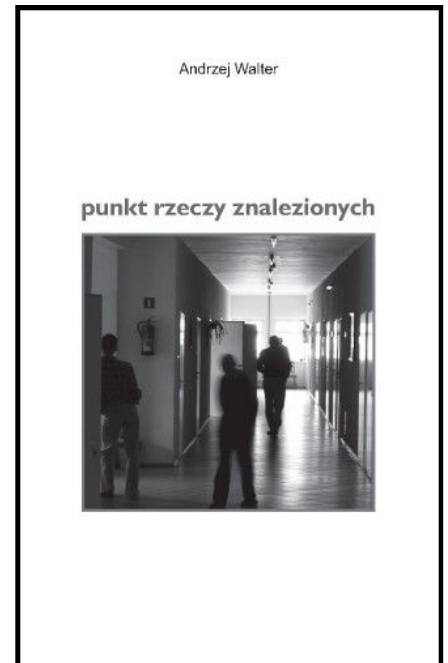
globalnym. Tworzenie bowiem jest siłą tkwiącą w człowieku, którą artysta z uporem próbuje skierować ku wieczności. Upór ten, wytrwałość wybranej drogi, ma jeszcze inne ważne znaczenie, bo łączy ludzi, dając im siłę oraz nadzieję, że wspólnie mogą bardziej zbliżyć się do tego punktu, unikając wzbierających nawałnic rozpadu.

Podobnie jak wielu poetów współczesnych, Walter mocno eksponuje niechęć do świata wszechpotężnej konsumpcji i przyspieszonej cywilizacji technologicznej do granic prędkości światła. Wszystko bowiem w nim staje się względne i niepewne, zaś życie przenika bezgraniczne ryzyko. W tak skrojonej rzeczywistości tylko śmierć jest pewna – podkreśla poeta i dodaje – że jej sens zawiera się właśnie we wszechogarniającym konsumowaniu wszystkiego, czyli uśmiercaniu. Wartości, wzniosłe formy kultury, ale i moralność i religia również ulegają rozpadowi do tego stopnia, że dla ludzi pędzących na oślep: „Chrystus na krzyżu dziś bezrobotny”. Sens poezji również uległ rozpadowi – sądzi Walter – ale pisać należy, bo istnieje taka potrzeba, jeśli już nie w tym naszym świecie, to zapewne w Niebie. Ludzie wyznają dzisiaj „religię ekranu”, na którym miłość nie jest możliwa do odróżnienia od seksu, konsumpcji i nienawiści, a być może tylko jeszcze Bóg kocha człowieka, jeśli kocha. Świat bowiem w wyniku niespotykanego przyspieszenia uwolnił się z reżimu pojęć, ich znaczeń, logiki życia i istnienia, a w konsekwencji w miłości mieści się nienawiść, w prawdzie – fałsz, w sprawiedliwości – niesprawiedliwość i trudno cokolwiek jednoznacznie zrozumieć, nazwać po imieniu, a nadzieja, która przepelniona jest w ten sposób nicością, głosi przede wszystkim pewność śmierci. Wyjściem z takiej sytuacji – na co wskazuje osobiste doświadczenie poety – jest budowanie wśród ludzi wspólnot opartych na przyjaźni i miłości: one zbliżają poniekąd Niebo do ludzi i w jakiś sposób zaświadcza, że właśnie uczestniczymy z innymi w przejawie wieczności, owego punktu odniesienia, bo opierają się bezwzględnej logice upływu czasu, spotęgowanej konsumpcji, realizującej ową „ideologię śmierci”. Walter wskazuje, że logika miłości i przyjaźni przewyżcza ową ideologię, bo kochać można przeciw tych, którzy odeszli do wieczności, choć „śmierć ich pożarła”. Dzięki tak urzeczywistnianej miłości gasimy „płonący świat” i uczestniczymy choćby przez chwilę w wiecznym „majestacie miłości”, dającym nam owo obcowanie z bliskim i kochanymi z wzajemnością.

W drugiej części tego zbioru Walter opisuje osobiste przeżycia wynikające z głębokiej przyjaźni z Anną i Jackiem Kajtochami, którzy wprowadzili go w świat poezji i sztuki. Poeta właściwie dedykuje im ten tomik. Również zamieszczone tu zostały znakomite liryki poświęcone żonie poety – utworzy piękne, wzruszające, z prostotą i delikatnością eksploatujące ów wieczny wymiar żaru uczucia między dwojgiem ludzi związanych z sobą na życie i śmierć, którego doświadczenie już teraz uchyla jakby tajemnicy wieczności i stanowi jakiś zarys projektu owe metafizycznego punktu odniesienie nie tylko dla „rzeczy znalezionych”, ale i ludzi, którzy siebie byli odnaleźli. Warto chyba zastanowić się nad taką poetycko-filozoficzną wizją

człowieka, którą proponuje autor, ciekawie wizualizujące swe przeżycia własnymi fotografiami, harmonijnie spajającymi jego głębokie przekonanie co do sensu naszego istnienia.

PROF. IGNACY S. FIUT



Andrzej Walter, „Punkt rzeczy znalezionych”. Posłowie: Leszek Żuliński. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2011, s. 68.

Światła spełnione, jaskrawe i tylko twoje...

*schroniłam się w cieniu wątpliwości
z drzewa zwolna spadły
nonsensy
absurdy
paradoksy
te liście pokryły
ścieżynki życia
zaścieliły drogi wyjścia*

Felicja Borzyszkowska-Sękowska

Mijają pokolenia, odchodzą przyjaciele, znajomi, osoby znane i lubiane. Czas wydaje się sędzią obiektywnym i bezwzględnym... Trwa zapominanie. Rozumiem więc i szanuję autorów, którzy sięgają wstecz, przypominają, przywołują...

Felicję Borzyszkowską-Sękowską znałem dotychczas z owianego środowiskową legendą cyklu książek „Być...” np. „Być artystą” i in., a także z powieści „Pelnia niespełnienia i „Niezapłacony rachunek sumienia”, czytałem też opowiadania z tomu „Miłości głodni. I godni” oraz wiele przeróżnych tekstów publicystycznych, okazjonalnych, interwencyjnych...

Wszystkie te, zarówno już wydane dzieła, jak i te oczekujące w szufladach łączą klimat autentyczności i aktualności, a także życzliwej,

(Dokończenie na stronie 18)

Światła spełnione, jaskrawe i tylko twoje...

(Dokończenie ze strony 17)

przyjaznej, serdecznej obserwacji... Nawet wydarzenia smutne, relacje gorzkie, złe wspomnienia, żal po stracie najbliższych, rozmyślenia o kłeskach, upadkach i mrocznych stronach codzienności, nie pozbawiały autorki, jej niezwyklej, niewyczerpanej wiary w dobro ludzkiej istoty, w możliwość przeobrażania rzeczywistości i nas samych. Również krytyka, bardzo niekiedy ostra, polemiki i protesty wobec głupoty, obojętności, lenistwa, nieuczciwości, biurokracji – nie były napastliwe, przesadne, nienawistne, a odwrotnie – autorka oczekiwała tylko naprawienia krzywd, rozliczenia, dania szansy. A przecież poruszane problemy wynikały z jej osobistych doświadczeń, często bolesnych, upokarzających, przykrych... Niezwykłe i rzadkie połączenie: niespokojny duch, w tak pogodnym wnętrzu. A nadziei, zaufania, cierpliwości – więcej niż u zawodowych psychologów, którzy podobno powinni nam zawsze pomagać.

Cenię jednak Felicję Borzyszkowską nie tyle za bogatą skalę poruszanych tematów, a nawet nie za to, że potrafi zafascynować czytelników oryginalnymi wypowiedziami i zwrotami, lecz za formę, za kształt literacki tych utworów. Cenię jej specyficzny, nerwowy styl, pełen dygresji, pytań, pojawiających się i znikających wątków, podziwiam umiejętność budowania zdań złożonych, współrzędnych, nadrzędnych, sprawiających wrażenie wypowiedzi potocznej, w jakiejś rozmowie dotyczącej właśnie opisywanego tematu. Obok ekspresyjnej narracji mocną stroną powieści i opowiadań Felicji Borzyszkowskiej były też zawsze dialogi – rzeczowe, konsekwentnie prowadzone, zindywidualizowane, a najważniejsze: typowe dla jej pisarskiej osobowości, oryginalne i psychologicznie umotywowane. A przy tym: zaskakująco-elektryzujące, pobudzające do myślenia nawet najbardziej gnuśne czytelnicze umysły. W jaki sposób? Niepokorną postawą etyczną, czyli po prostu – prawdą mówioną w oczy, bez upiększania, kokietowania, dopisywania zmyślonych zdarzeń. Borzyszkowska – autorka, zawsze pozostaje uczciwa wobec czytelników i samej siebie, a w tym co opisuje – relacjonuje, jest autentyczną reporterką. Sylwetki-osobowości ukazywane w cyklu „Być...”, a więc w cyklu reportażowo-publicystycznym, są prawdziwie w swej oryginalności, zatem Borzyszkowska wydaje się bardziej wiarygodna od wielu współczesnych autorów wielkonakładowych reportaży... Nie chcę tu podejmować wątku od kilku tygodni obecnego na łamach prasy, w telewizji i w internecie.

Jedną z ważnych bohaterek cyklu „Być...” stała się Kalina Jędrusik, znakomita aktorka, zaprzyjaźniona i bliska autorce tomu „Światła przyjaźni”.

Zastanawiam się, dlaczego Felicja Borzyszkowska przygotowała i opublikowała równocześnie aż trzy tomiki swych wierszy... Od poprzednich: „Ekwilibrystyka płonącej wyobraźni”, „Echa lat”, „Barwy wewnętrznych pejzaży” –

czasu upłynęło sporo i być może znana już i uznana autorka ponad 20-tu książek, postanowiła ukazać czytelnikom swe wnętrza, ujawnić najskrytsze marzenia, sny, doznania, przeżycia. Inaczej mówiąc: potrzeba tworzenia wierszy przeważała, stała się silniejsza i ważniejsza, od ciągłej prozajicznej polemiki z rzeczywistością, czy zaangażowania w działalność społeczną i popularyzatorską, chociażby w stworzonym przez siebie Klubie Kobiet Twórczych – stowarzyszeniu o wielkich zasługach dla polskiej sztuki, literatury, kultury. A zresztą... nie do końca jestem przekonany o słuszności moich wywodów. Przecież Felicja Borzyszkowska nadal pracuje nad nowymi powieściami, opowiadaniem, artykułami i nadal działa, uczestniczy w rozlicznych spotkaniach i wydarzeniach. Jest przecież kobietą silną, niezłomną, konsekwentną i nie ulegającą presji...

Trzy tomy wierszy powstawały prawdopodobnie równolegle, o czym świadczyć może kształt poetyki, język, kompozycja utworów.

We wspomnianych już „Światłach miłości” autorka dzieli się z nami swą wiedzą o szczęściu, spełnieniu, tęsknocie, samotności... Są to zwierzenia bardzo niekiedy osobiste, intymne, subtelne. Momentami brzmią jak spowiedź, opowieść o poszukiwaniu radości życia, rozkoszy, wytchnienia... I o złudzeniach, bezustannych mirażach, obietnicach żarliwych lecz niespełnionych, i wciąż odradzającej się nadziei, która po prostu pomaga przetrwać. Wersy krótkie, nie dłuższe niż trzy-cztery-pięć słów, składają się często na kilkuwątkowe zdanie, będące w zasadzie zamkniętym utworem. Pointy o rozległej skali ekspresji, nie tyle podsumowują treść, co są jakby odrębnym spojrzeniem pozwalającym zobaczyć głębiej i dalej. Poetka przemawia do nas językiem prostym, unikając nadmiernego zagęszczenia metafor i symboli. Często przywołuje natomiast zamierzchłe formy gramatyczne, po prostu przypominając nam o bogactwie mowy rodzinnej:

*Chodzisz w zaprzęgu?
nie możesz zrobić kroku?
wprzód ni do boku
a wstecz?
nie drepcz w chomącie
nie koniemiś przecież...*

Wzruszył mnie wiersz poświęcony Eligiuszowi Sękowskiemu – zmarłemu niedawno małżonkowi autorki, a także ten zadedykowany Kalinie Jędrusik. Podczas lektury wciąż przywoływałem w pamięci ich pełne życia, pogodne sylwetki...

„... i pełną ludzi / może być samotność” – notuje autorka, a ja cofam się i kilka stron wcześniej odnajduję „koszmar milczącego telefonu”:

*nie wiedzieliśmy że
cisza może być aż
tak wrzeszcząca
tembr ciszy roślinie
rozrywając bębenki
strzępiąc małżowinę
a my czekając
myślimy jak zabić
koszmar milczącego
telefonu*

Znakomity wiersz, pełen dramatycznego stopniowanego napięcia, kończy niespodziewana pointa:

nieśamowita różnorodność etyczna

*to twój świat
ziemia zapaleńców
przed takimi świat sam się otwiera*

Nie tylko różnorodność etyczna, również różnorodność stylizacji i sposobów ujęcia tematu, stanowi o wartości tomu. Od czułego liryzmu po drapieżny turpizm i wprowadzenie do wiersza języka publicystycznego i paranaukowego.

*serce nie podłączone do brzucha
choć dobre chęci i...
cierpiętnictwo miłości
egzaltacja
kult piersi i krocza
pornografią zwany
niezdolność do zasymilowania popędu
wyszczera zęby
wytrzeszcza oczy
zdławionym głosem...*

Dojrzała, wrażliwa, utalentowana kobieta wciąż zmagając się z losem, z niepewnością, z samotnością, chwilami ogarnia ją niepokój i lęk przemijania, lecz nie ulega chwilowym rozczarowaniom i smutnym wspomnieniom. A literatura, w tym również poezja, nie jest dla niej azyłem, lecz wołaniem, dramatycznym wezwaniem, z lekką nutką ironii...

*Ten tomik
to krzyk tak wielki
że zmysł sluchu
niezdolny zarejestrować
wrzask niebosiężny
i niesłyszalny zarazem
czy dusza zarejestrowała
i umysł przechowa?
a może...
a może to ty
jesteś miłością
swojego życia
na którą czekałeś
tak długo?
towarzyszyłeś innym
na drogach bezdrożach
a może lepiej
wycofaj się do
swojej dobrej samotności
bądź bliżej siebie
niż kiedykolwiek*

Przytaczam tu pełny tekst wiersza, uważając, że stanowi on credo nie tylko omawianego tomu, lecz jest istotny dla całej twórczości Felicji Borzyszkowskiej. Wyraża bowiem obawę przed obojętnością i niezrozumieniem oraz ironię wobec skłonności do eskapizmu i zamykania się w wieży miłości własnej, przeobrażającej się w częstokroć w „wieżę z kości słoniowej”.

Tom „Jaki kolor ma wiatr?” odebrałem jak zaproszenie do dłuższej rozmowy, a może nawet do uczestnictwa w seminarium filozoficzno-literaturoznawczym zaaranżowanym przez poetkę, a dotyczącym niezliczonej ilości ważnych współczesnych tematów. Przy czym sposób podejścia, osobista postawa pisarki – oscylują od sarkazmu i szyderstwa, po pełną troski i zrozumienia postawę akceptacji tych wszystkich zjawisk, które pomagają nam żyć. Aż skrzy się tu od polemik, dygresji, aluzji, skojarzeń i pełnych emocji komentarzy poetyckich. I jak niegdyś uczyliśmy się o poematach dygresyjnych, to omawiając książkę Borzyszkowskiej, ośmielię się użyć określenia: nowoczesny-dygresyjny tom poezji.

Niespodziewanie odnajdujemy się w centrum autentycznego życia – literackiego, spo-

lecznego, a nawet politycznego. Wiele tekstów ma charakter porównujący o wyrazistym, zdecydowanym wektorze...

*w mojej domowej fabryczce
produkuję autostresy
nadaję im wygląd
horroru
świadoma zagrożenia...*

Wiersz bez tytułu, ujawnia stan wewnętrzny autorki, która nie chce pogodzić się z tanim tandetnym blichtrzem rzeczywistości i z własnym zatroskaniem...

*z ludźmi
pogodzić mogę się
ze stresem nie
stres jest zemstą
na sobie samym
za lotrostwa innych*

Mądre, przenikające do sumień słowa i choć autorka samą siebie określa ironicznym mianem „historyczki od spraw błahych”, to cieszy nas jej nieustępliwość, wola walki, potrzeba codziennej, żmudnej przecież pracy nad słowem. Różnorodne formy i sposoby zapisu towarzyszą różnym treściami, przeważnie trafnie wybrane, celne tworzą ważny „ważniejszy krajobraz emocjonalny”. W wierszu-dedykacji: „Politykom” czytamy:

*szanują się
bo są mężczyznami
zwalczają się
bo są mężczyznami
kochają się bo są tak różni
nienawidzą się bo są tak odmienni
uporczywa wizja sukcesu*

Feminizm? Tak, lecz zracjonalizowany, nie historyczny, a przemysłowy, bez akcentów likwidatorskich i fanatycznych. Przy równoczesnej świadomości...

*... a kobiety muz nie mają
a tworzą
czy gorzej?*

Tom: „Jaki kolor ma wiatr?” zawiera wiele pięknych, mądrych wierszy, budzących autentyczne emocje, szczególnie u czytelników, którym temat jest bliski... Wstrząsający, gorzki wiersz o Norwidzie wykradającym chleb na arystokratycznych przyjęciach. Jak i ten poświęcony „Starcom”, czy „SOS dla książki”, czy „Pomorzanom”... Wiele z tych utworów ma charakter uniwersalny, ponadczasowy...

*w kadrze
zamkniętego czasu
ożywają wspomnienia
z kadru
przymkniętych chwil
wylania się...
lęk
o trwanie*

Jak ten przytoczony właśnie w całości, a będący poezją najwyższej już mistrzowskiej próby. A tuż obok drapieżny, zaczepny: „Onanizm z papierem”, którego nie zacytuję, zapraszając czytelników do rozważań nad celowością tworzenia, bo „czy warto gwałcić tę kartkę / by przyjąć słowa, których nikt nie chce / ni czytać / ni słyszeć / bo po co / dla kogo”.

Tom „Być z Bogiem” uznać możemy za bardzo osobiste wyznanie wiary oraz próbę niesienia pomocy tym wszystkim, którzy „w ciżbie spląta-

nych dróg / wybierają tę swoją / życiową /...”. A nie są to łatwe, standardowe, banalne wybory pomiędzy dobrem, a złem, miłością, a nienawiścią, ufnością i zwątpieniem.

Felicja Borzyszkowska ukazuje religię w wielu odsłonach, nie unikając tematów trudnych, a i takich, zwyczajnych, powszednich jak „Moherowe berety”. Pośród obfitej i egzaltowanej twórczości na tematy duchowe i metafizyczne, tom Borzyszkowskiej zwraca uwagę autentycznością teologicznych rozważań, opanowaniem emocji oraz wszechstronnością w doborze narzędzi wyrazu artystycznego potrzebnych w komponowaniu tak delikatnej i ważnej materii poetyckiej. Są więc tu utwory o grzechu własnego zwątpienia i wiersze dedykowane Janowi Pawłowi II („Broń”), świętej Faustynie i... niewidomym. Zachwyił mnie wiersz „Piękne stare twarze”, mówiący inaczej o przemijaniu, a także ten... zatytułowany: „Współnota szczególna”:

*... a ty doskonale wiesz
że
do twego poczucia
potrzeba było dwoje
urodziła cię
jedna
potem pełno wokół
odchodząc ze świata
będziesz sam
więc
zadbaj aby
właśnie wtedy
był przy tobie
Bóg*

Trzy poetyckie książki o zróżnicowanych tematach i bardzo zbliżonych metodach lirycznej relacji. Momentami na pograniczu romantyzmu, nawet sentymentalizmu, kiedy indziej zapisywane językiem niemal sprozaizowanym...

Głębokie filozoficzne zamyślenie i turpistyczne szyderstwo, zamiłowanie do konkretnych, szczegółowych opisów, a w pobliżu licytacja pojęć ogólnych. A przecież wszystkie te zabiegi tworzą wyrazistą, jednorodną całość, własną poetykę i stylistykę Felicji Borzyszkowskiej. I można ją akceptować lub nie, lecz nie podoba zaprzeczyć jej istnieniu, wspinałemu istnieniu.

Borzyszkowska chce być i chce być akceptowana, chce pisać dla nas i mieć swych czytelników i... ma!

Zauważalną cechą jest również dystans wobec siebie, leciutka, skrywana, lecz przecież zawsze obecna – i to nie tylko w poezji – autoironia, krytyczne, uważne spojrzenie...

Podczas licznych spotkań podziwiałem Felicję Borzyszkowską za ten delikatny, półjawnny uśmiech, czy raczej uśmieszek, może nie do końca odczytany, ale piękny.

A kobiecość? Trzy tomy wierszy napisane i ułożone przez autentyczną damę poezji i ani słowa o... poezji kobiecej. A przecież...

*ujmij mnie za dłoń
i ukształtuj sobie*

Napisała poetka w wierszu „Barwy ciszy”, słowa jakie wielu mężczyzn chciałoby zapewne usłyszeć. Cóż... Sądzę, że znakomita, wybitna poetka, indywidualność na miarę naszych czasów, została już ukształtowana, wyrzeźbiona przez swą poetycką pracę, nieobojętność i talent.

Na drabinie czasu

Rozważania o poezji Ryszarda Kubiaka

Czas to częsty temat w twórczości poetyckiej, zwłaszcza wśród twórców starszego pokolenia. Uświadomienie sobie jego destrukcyjnego działania wyzwala smutek, nostalgię, przygnębienie, czasem bunt lub rezygnację. Nic dziwnego, że wiersze o tematyce egzystencjalnej też są przeważnie smutne. Nie zawsze mamy ochotę na ich lekturę. Są jednak momenty w życiu każdego człowieka, kiedy z jakiegoś powodu dopada go zaduma lub zwykła chandra. Wtedy łatwiej identyfikuje się z podmiotem lirycznym takich wierszy, gdyż – mówiąc kolokwialnie – nadaje na tej samej fali, co autor. Dobrze, jeśli po ich przeczytaniu poczuje się pokrzepiony na duchu albo przynajmniej pocieszony faktem, że inni odczuwają to samo co on.

„Prośba o codzienność”, piąta książka poetycka Ryszarda Kubiaka, podobnie jak poprzednie („Cisza nadziei”, „Ucieczka w szarość”, „Znaki lęku”, „W świetle zmierzchu”) zawiera właśnie takie wątki egzystencjalno-kontemplacyjne. Poeta obchodzący swoje osiemdziesiąte urodziny, a więc osiągnąwszy wiek określanej dawniej mianem sędziwego, spogląda na rzeczywisty świat i na samego siebie z perspektywy minionego czasu, jakby ze szczytu drabiny życia. Widzi więc zapewne więcej i szerzej niż człowiek młody, choć może niezbyt ostro, bo szczególnie, zwłaszcza te bardziej bolesne, przysłania lekka mgła zapomnienia. Świadom nieuniknionego, które się zbliża, pragnie wdrapać się na stożek w bieli i zebrać zmierzchnego czasu / potem wpakować do worków przejrzystych / i trzymać długo – póki nie otuli / aż po niepamięć o tym co zamierzchnie. Chce zmierzyć się z czasem nie po to, aby go cofnąć albo chociaż zatrzymać; wie bowiem iż to niemożliwe. Celem tych zmagania jest uporządkowanie przeżyć, które będzie skutkowało psychiczną równowagą i które pozwoli wejść w rozluźnienie i przywołać spokój. Środkami do osiągnięcia tego celu są doświadczenia autora nabyte w ciągu wieloletnich obserwacji: kruchość i ulotność wszystkiego co żyje (por. wiersze „Motyl”, „Róża”), własne wspomnienia, które są dla poety tarczą i wycinają zło udręki i wreszcie: wiara, która wprowadza w krainę radości i miłosierdzia.

Rafał Orlewski w redakcyjnej przedmowie do książki podkreśla, że poezja Ryszarda Kubiaka nie jest ucieczką od lęków w jakiś absolut szarości. To raczej przedzieranie się przez szarość życia i jej przenikanie po to, by wyluskać jasne i ciepłe barwy w pielgrzymce przez życie... Podobnie uważa autorka posłowania, Zdzisława Pieczyńska-Gąsior, pisząc iż Kubiak w swojej życiowej wędrówce nie ustaje w niestrudzonej „zamienianiu ugorów w żyzność” i „przechodzeniu z niebytu w byt”. I to jest właśnie ta wartość poezji, która krzepi czytelnika. Sam autor o swoim pisaniu mówi, że *zatrzymuje to co cenne – w locie*, aby w ten sposób *niepokój zamienić w przedświt*. Wiersze Ryszarda Kubiaka nie dosmucają, a wręcz przeciwnie, niosą jasne, pełne nadziei ciepło. Owo ciepło nie domaga się nazwania. Ono po prostu jest odczuwalne w kontemplowaniu piękna natury, w przypomnieniu dawnej miłości, w subtelnym pragnieniu

(Dokończenie na stronie 20)

ANDRZEJ ZANIEWSKI

Na drabinie czasu

Rozważania o poezji Ryszarda Kubiaka

(Dokończenie ze strony 19)

pieszczot. Nawet wątki metafizyczne emanują ciepłem i nadzieją: *modlitwę dokończ / z jasnym obliczem / z sercem otwartym / i ciesz się życiem / słowa miłości podawaj/ innym...* Ktoś powie: moralizatorstwo. Tak, Rafał Orlewski nazywa Kubiaka moralistą, lecz zaraz wyjaśnia, iż *poezja ma budzić i poruszać sumienia*. Ta poezja uczy przede wszystkim cenić to, co towarzyszy nam każdego dnia, a przez to wydaje się oczywiste i niezniszczalne: przyrodę, świat, drugiego człowieka oraz dany nam na ziemskie pielgrzymowanie odcinek czasu. Słowa, z pozoru proste, jednowymiarowe, niosą ze sobą głębokie filozoficzne przesłanie, stawiają trudne pytania, pobudzają do refleksji i zadumy nad własnym życiem i jego sensem, nad światem.

Przypatrując się poetyce Ryszarda Kubiaka, warto zwrócić uwagę na występujące w niej motywy. Zdzisława Pieczyńska-Gąsior zauważa motyw drogi rozumianej jako wędrówka przez życie, przez czas. Ta droga wiedzie poetę do wspomnień z Arkadii dzieciństwa i wczesnej młodości nacechowanej prawdziwie radosnym odczuwaniem życia. Wspomnienia są źródłem ukojenia i spokoju. Innym motywem jest kultura starożytna. Wątki antyczne uświadamiają ciągłość czasu, jedność pokoleń i nadają sens życiu poszczególnych jednostek. Autor „Prośby o codzienność” unika abstrakcyjnych pojęć (autorka posłowania wyraźnie podkreśla autentyzm wierszy). Zastępuje je ciekawe, umiejętne operowanie różnymi motywami i konkretami. Moją uwagę zwróciły motywy teatralne, a zwłaszcza motywy nagiej tancerki, która *skupiona na tańcu nie myślała/ o zamachach bombowych w Grecji czy Francji/ ani że w Ameryce rozbił się samolot*. Operując obrazami, poeta uświadamia nam względność jednoczesnych zdarzeń i jednostkowych doświadczeń, które składają się na doświadczenia globalne. Tę względność doskonale obrazuje puenta wiersza: *Tancerka (...) się obraca wokół / własnej osi / a nie osi tego świata*.

Język poezji Ryszarda Kubiaka jest prosty, komunikatywny, lecz nie pozbawiony subtelnych środków artystycznych. Towarzyszy mu atmosfera tajemnicy i magii jakby z pogranicza snu lub baśni. Zwracają uwagę niektóre metafory: *w błotnych kałużach palił się wieczór, zapaliło się światło / w twarzy wieczoru / kroplą rosy, nieśmiało / dotknęło mnie / marzenie* albo: *zmierzch cennego czasu*. Dzięki nim, czytaniu wierszy towarzyszy artystyczne wzruszenie i uniesienie. Emanująca z książki mądrość i dobroć czynią zeń wartościową lekturę, godną polecenia nie tylko czytelnikom starszym, ale i młodym, borykającym się często z problemami egzystencjalnymi typowymi dla okresu dojrzewania, lub tym którym życie jawi się czasem jako beztronna, niekończąca się baśń.

TERESA JANUCHTA

Ryszard Kubiak, „Prośba o codzienność”. Opracowanie redakcyjne i wstęp: Rafał Orlewski, Posłowie: Zdzisława Pieczyńska-Gąsior. Projekt okładki: Jerzy Włodzimierz

Misztela. Wydawca: Nauczycielskie Stowarzyszenie Kulturalno-Oświatowe NASTOK w Piotrkowie Trybunalskim, Piotrków Trybunalski 2011, s. 70.

O Jaćwingach przejmująco...

Był to mąż bogoboyny i sprawiedliwy.

Czesław Miłosz

O Jaćwingach nie wiedzieliśmy zbyt wiele (choć to naród o tysiącletniej tradycji) bez względu na przestrzeń geograficzną w której żyli i na czas historyczny. Z powieści Zenona Kamińskiego „Spartanie północy” wyłania się obraz (ludu Bałtów), w którym odnajdziemy elementarne sytuacje egzystencjalne, jak narodziny i śmierć, miłość i wojnę, kulturę i obyczajowość. Świat Jaćwingów (śledzimy dzieje dwóch rodów! Komiatów i Gerdonów) znalazł swoje miejsce na terenach pomiędzy Jeziorami Śniardwy i Mamry i nad rzeką Biebrzą – Środkowym Niemnem i Szczepuzą. Nie spodziewajmy się błyskotliwych hipotez – albo niezwykłych pomysłów historiozoficznych. Świat Jaćwingów wskrzeszany jest i konstruowany z pełnym bogactwem szczegółów (jako pierwsza pozycja w literaturze, przedstawiająca w formie beletrystycznej ich życie i obyczaje) z konkretnością, barwnością, na którą potrafił się zdobyć jedynie wytrawny autor powieści historycznych. Świat, który autor pragnie ocalić, istnieje tylko na kartach jego powieści...

Ta powieść jest z krainy snu, nie jawy. Zaś motto z Czesława Miłosza nie znalazło się przypadkowo. W przypisach do biografii noblisty czytamy: „Zachowało się zaproszenie, w którym na ślub Wery i Aleksandra zapraszają Zygmunt i Józefa (babka poety) – z Syruciów Komiat-Kunattowie oraz Stanisława z Łopacińskich Miłoszowa. Forma „Komiata” odsyła do imienia wodza Jaćwingów, „tt” miało nadawać nazwisku arystokratyczne brzmienie.”

Bohaterowie Kamińskiego często są beziemienni – to oni właśnie są częścią wielkiej zbiorowości – z nimi wiąże się ukonkretnienie odniesień czasowych, które niesłuchanie i wyraziście ciągle obecne – dające się odnaleźć w określonym czasie historycznym. W rytmie życia. Zwróćmy uwagę na rozpiętość skojarzeń. Punktem wyjścia autora jest codzienność. Poprzedź codzienność naświetla, jak gdyby wszystkie sprawy: „– W żelazo zakuci rycerze w białych płaszczach z czarnymi znakami, na ciężkich koniach, jak stada kruków ciągną, gdzie po dziennym obiegu kryje się słońce i nastaje noc. Za nimi płoną osady i leśne sadyby, leje się rzeka krwi. Idą i ogniem, i mieczem niszczą, co napotykają na swojej drodze. Krew zaleje ziemię Sambów, Pogezan i Warmińców. Potem padną Nadrowiany i woje staną nad wodami naszych wielkich jezior. Wojownicy Jaćwingów jak jeden mąż staną do walki z żelaznym łupieżcą.” Autor wyraźnie określa niepokoję ludzi trapionych lękami – osaczonych przez brutalną rzeczywistość. Nadzieją jest zwołanie wielkiej wojennej wyprawy pod wodzą Perkunisa „Komiata”. A był to mąż bogoboyny i sprawiedliwy, i waleczny.

„Naczelny wodzu, walcz dzielnie jak przystało na Jaćwinga. Miecza nie żałuj i sił nie

szczędź” – zwrócił się do wodza brat Reglo.

Bohaterowie Kamińskiego wydają się być „zwyczajni”, mało skomplikowani wewnętrznie. Lecz każdy stanowi indywidualny mikroświat zasługujący na uwagę. Czy uda się zrzucić cień, który spowija ich życie? Autor pisze o tym wszystkim przejmująco...

W każdym razie to głęboko wzruszające, że po latach wielu wstają z prochu nazwiska dawnych władców – wyłania się obraz walecznego ludu. Powieść toczy się wartko i nie nuży. W szybkim przręczaniu się od obrazu do obrazu – na szczęście nie skryła się pułapka, której na imię powierzchowność.

Cenna i piękna książka (dla młodzieży i dorosłych) bawi chyba samego autora. Świadomość historyczna, jeżeli idzie o dzieje tak odległe, karmi się jedynie szczątkami. Warto było rozproszyć tę mgłę... Od czytelnika wymaga się wiele – a przede wszystkim wyobraźni, pamięci cierpliwie przywołującej wspomnienia historyczne. Główny nurt powieści stanowi rzetelna i wielostronna interpretacja (dla tego typu literatury – czyli czerpanie z bogatej skarbnicy m.in.: Okulicz-Kozaryn – „Życie codzienne Prusów i Jaćwingów w wiekach średnich” i Benedykta Zientary „Historia powszechna średniowiecza”). Rzeczywistość historyczna – to świat drobniawo zinwentaryzowanych rekwizytów codzienności. Rzeczy, przedmioty (ich tworzenie) zaistniały jako nieodłączne tło ludzkiej egzystencji (właściwie nie tyle tło, a jej wypełnienie). Ono pozwala autorowi dokonać wyboru ludzi i zdarzeń, słowem, nadać kształt historii, stworzyć ją niejako od nowa, z perspektywy dzisiejszej i własnej.

Kamiński przedstawia stosunek człowieka do przyrody (opisuje procesy tworzenia i niszczenia, aż do chwili, gdy ustalił się jako taki porządek wszechświata.)

Poprzez te „baśniowe” wątki zrozumiemy procesy dokonujące się w społeczności jaćwierskiej, i tak przecież nierozzerwalnie związanej z cyklem ich życia, ich zwyczajami, wreszcie z ich kodeksem moralno-obyczajowym. Tym wszystkim, którzy zasiądą do lektury „Spartan północy” polecam gorąco wyszczególnienie prac „jakimi zajmowano się w jaćwierskich gospodarstwach”: „Wyprawiano skóry zwierząt domowych i dzikich na kozuch i szuby, a z kamienia robiono oselki do ostrzenia noży, toporów i mieczy, gładziki oraz żarna. Łupano krzemień, z którego wyrabiano krzesaki do ognia i ostrza do przecinania twardych przedmiotów, np. kości. Każdy Jaćwing znał sposoby drażenia drewna, dębiana, strugania i ciosania, a także gięcia płóz do sań, desek do chodzenia po śniegu i wyrabiania kół do wozów. Kowale posiadali umiejętności kucia i ostrzenia mieczy, bojowych toporów, grotów do sulic, szczepów i łuczniczych strzał. Kowale-zbrojarze kuli zbroje, okrągłe tarcze i żelazne kołpaki z osłonami twarzy. (...) kilkoro niewolniczej czeladzi na garncarskich kołach lepiło z glinianej masy różnej wielkości garnki, dzbany, kubki i misy.”

Wprost zdumiewające poczucie intensywności życia...

W literaturze sam temat może niewiele znaczyć w porównaniu z istotą jego obróbki.

(Dokończenie na stronie 24)

Filozofia codziennosci (65)



Jednak literatura piękna oraz sztuka przynoszą nie mniej cenną wiedzę o świecie i człowieku niż nauka. Pobudzają one wyobraźnię i odwołują się do uczuć. Wzbudzają także zdolność do dziwienia się światem. Rozbudowują wrażliwość. Uszlachetniają. Przeżywanie i doznawanie pozwalają głębiej wnikać w interesujące nas zjawiska.

To, co leży poza obszarem dowodliwości rozumu – nie znaczy, że jest antyracjonalne. Uczni, o ile są obdarzeni mądrością, przyznają się do obszarów niewiedzy. Wiadomo ponadto, że teorie naukowe dziś uznawane za niepodważalne, jutro staną się zapisem błędów, które rozum popelnia w dążeniu do poznania prawdy. Teoria Ptolemeusza została zastąpiona przez teorię Kopernika. Metody lecznicze, czy na przykład teorie dotyczące sposobu odżywiania się, ulegają częstym zmianom.

Wartość intuicji, czy telepatia jako sposób komunikowania się z ludźmi i zwierzętami – to przykłady zjawisk oczywistych, wielokrotnie potwierdzonych, a jednak podważanych przez niektóre teorie naukowe. Winę ponosi nasz system edukacji, nastawiony głównie na rozwój sfery intelektualnej. Poza obszarem zabiegów edukacyjnych pozostaje z reguły sfera uczuć, i doznań oraz problem rozwoju wyobraźni i kształtowania charakteru.

Polski wybitny uczyony, lekarz i psycholog, Kazimierz Dąbrowski, pisał w swoich dziełach, że o wartości człowieka decyduje w większym stopniu poziom rozwoju uczuć niż poziom rozwoju intelektualnego. Wskazywał, że szczególnie niebezpieczni są psychopaci, a więc jednostki odznaczające się inteligencją, często wysoko wykształcone, ale wykazujące niską uczuciowość, małą wrażliwość i wyobraźnię. W konsekwencji psychopaci są pozbawieni skrupułów w dążeniu do własnych celów, a w tym zaspokajania ambicji. Popędy niepoohamowane względami na drugiego człowieka kierują ich poczynaniami. Dzięki badaniom Kazimierza Dąbrowskiego i jego uczniów w Kanadzie, okazało się, że uczucia mają rozmaite poziomy.

Rozmaite też bywają stopnie napięcia uczuć. Niektóre z nich, jak patriotyzm, skłaniają do czynów prowadzących aż do utraty życia. Nieszczęśliwa miłość popchnęła niejednego człowieka do prób samobójczych. Jednakże w naszej kulturze ceniony jest umiar. Składając życzenia świąteczne życzymy sobie wszak spokoju, mimo że burze uczuciowe intensyfikują nasze istnienie.

Pochwała życia towarzyskiego

Wielkie miasto, zwłaszcza w nocy, przynosi swoiste doznania. Światła, migające reklamy, zakochane pary, czy przemykający clochardzi, stwarzają niepowtarzalny koloryt i klimat. Potrzebne są miejsca w których można się spotykać i znać z widzenia stałych bywalców owych kawiarni, piwiarni, czy barów.

Zamknięcie się w kręgu własnych mieszkań i domowników – znamionujące obecnie sposób życia większości Polaków – ogranicza nasze doznania. Ogranicza je również poruszanie się własnym samochodem, czy na przykład wyjazdy sobotnio-niedzielne do podmiejskich posiadłości, czyli „działek”, jak to się obecnie określa. Jesteśmy nieufni. Zamykamy się w kręgach rodzinnych, do których ograniczony dostęp mają nawet dalecy krewni, czy na przykład teściowie, jeśli są już na tyle starzy i schorowani, że nieużyteczni.

Zaczynamy coraz częściej traktować innych jako środek służący naszym celom. Brakuje bezinteresownego zainteresowania drugim człowiekiem. Dominuje plotkarski stosunek do innych. Żyjemy z dnia na dzień, powodowani różnymi impulsami, a przede wszystkim naciskami obyczajowymi i światopoglądowymi swojego otoczenia. Wchodząc do domu mamy zwyczaj włączając telewizor, czy radio – i znów ulegamy wpływom tego, co stereotypowe. Zaczyna nam brakować odwagi, by przemyśleć wiele spraw na swój własny sposób i wybrać takie wartości, które nam rzeczywiście odpowiadają. Beźmyślnie dostosowujemy się do innych. Nieraz udajemy poważnych i dorosłych, bo tak „wypada”. Unikamy zabawy, w tym tańca, by nie wyjść z „gorsetu”, w którym tkwimy od lat.

Na zwierzęta patrzymy często z wyższością, zamiast zastanowić się między innymi nad tym, że zwierzęta umieją i chcą się bawić. A właśnie zabawa sprawia, że wyzwała się w nas to, co autentyczne, a często skrywane, tłumione. I nie mniej ważne; zabawa łączy nas z innymi. Powodowani różnymi przesądami nie prowadzimy życia towarzyskiego, objaśniając to trudnościami materialnymi. Nie chcąc ograniczać kontaktów z ludźmi przyjmowałam przez wiele lat gości, w każdy wtorek, podając fasolę. Dyskutowaliśmy do świtu. Tańczyliśmy.

Prowadzenie otwartego domu sprzyja poznawaniu osób spoza środowiska zawodowego. Sprzyja poszerzaniu naszej wiedzy o ludziach i zarazem o sobie. Inni działają na nas stymulujące, wyzwajają w nas pewne doznania i przemyslenia, ale naturalnie pod warunkiem, że rozmowy nie dotyczą chorób i dolegliwości losu. Po takich rozmowach jesteśmy osłabieni.

Odrodzenie życia towarzyskiego, mimo małych mieszkań i narastających trudności materialnych, pozwoliłoby przełamywać izolacje między nami. Przerywałoby zabieganie wokół szarych, chociaż ważnych spraw codziennych. Zmniejszałoby, być może, wzajemną niezyczliwość.

Sport w perspektywie filozoficznej

Podążając problemy sportu współcześni myśliciele wkraczają z reguły na grunt medycyny alternatywnej w stosunku do medycyny

akademickiej. Zdając sobie sprawę z doniosłości zdrowia cielesnego, zalecają na przykład diety, hydroterapię, masaże, by tą drogą podnosić sprawność fizyczną. Zalecają także na przykład akupresurę, czy bioenergoterapię jako środki wzmagające sprawność cielesną. Problem sportu pozostaje w dalekim tle.

Podnosi się obecnie, i to nie tylko w środowisku filozofów, znaczenie idei holizmu, którą – nie nazywając w ten sposób – doceniali już filozofowie starożytności. **Holizm, to pogląd ujmujący człowieka jako istotę psychofizyczną w ścisłym zespoleniu ze środowiskiem naturalnym, czyli całym Kosmosem oraz w powiązaniu z innymi istotami żywymi.** Pogląd ten sprawia, że wielu myślicieli docenia znaczenie różdzkarstwa jako wiedzy przeciwdziałającej czynnikom chorobotwórczym. A troskę o sprawność ciała wiąże ze zdrowiem psychicznym.

Popularne jest przekonanie wyrażone najkrócej: „w zdrowym ciele – zdrowy duch”. Zawiera się w tym poglądzie dualistyczne ujęcie człowieka jako istoty złożonej z ciała i duszy. Taki sposób widzenia człowieka charakterystyczny jest dla wielu religii z chrześcijaństwem włącznie. Pogląd ten rzutował na stanowiska filozofów, by podać jako przykład Kartezjusza. Mianowicie filozof ten uczynił troskę o zdrowie cielesne nakazem moralnym. Bowiem chore ciało, jego zdaniem, wznieca w duszy namiętność, a te utrudniają sprawne działanie rozumu.

Jednakże większość filozofów, jeżeli w ogóle podejmuje zagadnienie sportu, głosi pogląd przeciwny do wyżej wspomnianego. Mianowicie: „w zdrowym duchu – zdrowe ciało”. Stanowimy jedność psychofizyczną, a więc zależność psychiki i ciała jest dwukierunkowa. Umiejętność znalezienia oparcia w sobie a nie w drugim człowieku oraz towarzyszące temu poczucie sensu własnego życia – to warunki zarazem zdrowia cielesnego.

Wątpię czy jest pożądana równowaga wewnętrzna, boiwni stany niepokoju pozytywnego, twórcze napięcia, entuzjazm dla jakiejś sprawy – to czynniki pobudzające do działania, zdolne przewycięzać słabości fizyczne, w tym cielesne niedomagania. Z braku takich porównań, człowiek ulega swoim słabościom i nadmiernie koncentruje uwagę na analizie własnych stanów psychicznych oraz zdrowia.

Niemiecki filozof, Kant, pisał w XVIII wieku, że wiele jest w stanie dokonać człowiek dzięki sile nieugiętej woli. Także bieda potrafi stać się czynnikiem wyzwajającym moc psychiczną w jednostce. W dziele „O potędze ducha” Kant pytał: „Skądże to pochodzi, że klasa robotnicza, którą do pracy gna nędza i obowiązki, o wiele mniej choruje niż klasa próżniacza?” Poczucie obowiązku wyrwa ze słabości, duch zwycięża nad ciałem, jak to określa Kant, i zdrowie zostaje przywrócone. Na marginesie tych rozważań dodam, iż Kant zaobserwował, że osoby nieżonate dłużej zachowują wygląd młodzieńczy niż te, które mają żony; boiwni pozbawione są swoistego jarzma, a to przedłuża im życie.

cdn.

Maria Sajdakowska

ANDRZEJ BARTYŃSKI

**Rozmowy na globie –
człowieka o sobie****Tryptyk odsłowny
z przystawką
lekcyjną****I Nie jestem**

Nie jestem Homerem
nie jestem Baudelairem
nie jestem Puszkinem
nie jestem Horacym
Jestem wrocławskim lwowianinem
i to mi całkiem wystarczy
bawię się sobą
bawię się słowem
jest mi wesoło
nie powiem

„Ten kto tęsknotę zna
mój ból zrozumie
samotny jestem ja
w tym ludzkim tłumie”
Tak śpiewał w Laskach
Zdzisław Sik
nasz kolega
był i znikł

Nie jestem Homerem
tego się nie wstydzę
bo jestem na świecie
większym niewiedzem
Siedzę sobie na balkonie
i nie widzę świata
myślę także o Platonie
który nie znał Braille-a
ale za to znał Homera
oczy miał w porządku
widział jak przemija era
z końca i z początku

Siedzę sobie na balkonie
odnośnie wieczności
czy też miałeś mój Platonie

radość wątpliwości?

Tu się kończy owa strofa
nim zaczniesz się nowa
raz do przodu raz się cofa
słowo z głębi słowa

II Idąc słowami

Idę słowami przez piękne rabaty
i chciałbym wachać wszystkie kwiaty
idę słowami zmierzam do mety
chciałbym ukoić wszystkie kobiety
Pytam nieśmiało
czy to nie za mało
dla porządnego poety?

Idę słowami ludzie się śmieją
dlaczego słowa nie kamienieją?
Miałby poeta większe znaczenie
gdyby przywalić mógł
komuś w sumienie
słowa kamieniem
na zakończenie
i na początek
gdzie skrzat nadziei
ma złoty zakątek

Idę słowami los się uśmiecha
jestem poetą mówi poeta
idzie słowami
jak mędrzec jak chłopiec
Moja poezjo
dokąd? Odpowiedz

Idą słowami ludzie przez wieki
słowo do słowa rzeka do rzeki
idą słowami ludzie przez czas
słowa zostają w nas

Idę słowami
i to będzie tyle
gdy wiersz się skończy
za chwilę

III Słowo

Za pięć miliardów lat
zginie cały świat
a słowo zostanie
„pozaprzesztrzenne nieprzestawanie „
to jest tak zwany
czynnik nieznanym
o którym mówią
że to jest Bóg

A słowo ciałem się stało
bo słowo się umiłowało
a słowo w bankach zamieszkało
bo słowo się ukontentowało
z konta na konto
uwaga pronto!
Gdzie Rzym gdzie Krym
gdzie Bar Cin-cin
wszędzie złoto wiedzie prym

Tu mówi Złoty Cielec
zaprasza w każdą niedzielę

przyjmuje w każdym kościele
złoto do złota
do kwoty kwota
złota robota
złoto do złota

Niech żyje wiara
nowa i stara
by nie wygasła ochota
Tu mówi Bóg
do tych co wierzą
lub się nawrócą
co mają niech rzucą
złoto do złota

Złota do złota
niebiańskie wrota
otwiera na ziemi
a nam brak słów

jesteśmy niemi

IV Przystawka lekcyjna

Ślepi głusi i niemi
tak jak my chodzą po ziemi
nie widzą nie słyszą nie mówią
nie podglądają nie podpatrują
nie podsłuchują nie gędzą
nie bredzą nie przygadują
jednak ze swej strony
coś nam proponują
aby w imię braterstwa
równości i jedności
wszystkich pozostałych
mieszkańców ziemi
zjednać sobie
w sposób bardzo prosty
i przekonywujący
Oczy wydłubać jednym
uszy poprzedziurawiać drugim
innym poucinać języki
żeby mogli w pełni poczuć
swoje szczęście
szczęście bycia bohaterami
w nowej roli
społecznej i osobistej
Ta propozycja
powszechnej integracji „defektystów”
wymaga powszechnej aprobaty
najlepiej omówić ją i rozważyć
przy rodzinnym stole
potem w Europarlamentie
i na wszystkich kontynentach
Ta wychowawcza propozycja
winna być tematem lekcji
we wszystkich podstawowych szkołach
a nóż okaże się obustronną korzyścią
dla jednych i dla drugich
dla nich i dla nas
Warto się zastanowić
nad tą możliwością
która przynosi ludzkim sercom
jakże upragnioną nadzieję
Usiądźmy zatem do stołu
sięgnijmy po sól
i po pieprz sprawiedliwości
tylko nie spieprzmy tego
tego domowego zadania

POEZJA

Henryk Bereza, „Zgłoski”. Zdjęcie autora: Paweł Orzeł. Zdjęcie na okładce: Ewa Elżbieta Nowakowska. Grafiki w książce: Andrzej Turczyński. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *piętnastka 15*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2011, s. 62.

Krzysztof Bójko, „Patykiem”. Projekt okładki: bezet@o2.pl. Krzysztof Bójko, Gorzów Wielkopolski 2011, s. 48.

Tomasz Dalasiński, „Porządek i koniec”. Zdjęcie na IV stronie okładki: eMDe. Projekt okładki: Kornel Maliszewski. Seria *poezja polska*. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2011, s. 64.

Tadeusz Dziewanowski, „Siedemnaście tysięcy małych ogonów”. Zdjęcie na I stronie okładki: Agnieszka Hejmowska. Zdjęcie na IV stronie okładki: Grażyna Dziewanowska. Biblioteka „Toposu”, tom 68. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2011, s. 58.

Julia Hartwig, „Gorzkie żale”. Zdjęcie autorki: Danuta Węgiel. *Biblioteka Poetycka*, tom 71. Wydawnictwo a5, Kraków 2011, s. 62.

Maria Kantor, „Odcisk koronki”. Redakcja i posłowie: Beata Anna Szymoń. Rysunki na okładce i wewnątrz tomu: Agnieszka Sławińska. Fotografia autorki: Klementyna Dubiel. Okładka i opracowanie graficzne: Andrzej Błaszczak. Wydawnictwo i Drukarnia Towarzystwa Słowaków w Polsce, Kraków 2011, s. 96.

Bogusława Łatawiec, „Gdyby czas był ziemią”. Zdjęcia na I i IV stronie okładki: Edward Balcerzan. Biblioteka „Toposu”, tom 67. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2011, s. 62.

Mieczysław Machnicki, „Całość”. Opracowanie graficzne: Michał Piekarski. Zdjęcie: Jolanta Fabisiak. Wydawnictwo Nowy Świat, Warszawa 2011, s. 72.

Piotr Michałowski, „Cisza na planie”. Zdjęcie autora: Aida Michałowska. Zdjęcia na okładce i w książce: Bartosz Wójcik. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *piętnastka 15*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2011, s. 68.

Sławomir Mrugowski, „Otóż”. Redakcja i korekta: Marek Wasilewicz. Projekt okładki: Robert Ratajczyk. Na okładce wykorzystano grafikę autorstwa Sławomira Mrugowskiego. Wydawca: Warszawska Firma Wydawnicza s.c., Warszawa 2011, s. 90.

Michał Piotrowski, „Piszę do ciebie pogrążony w żalu”. Fotografia na okładce: Tomek Zerek. Lampa i Iskra Boża. Warszawa. [bez daty wydania], s. 42.

Halina Płader, „Rozsypanka”. Zdjęcie autorki: Agnieszka Płader. Projekt graficzny serii, projekt

okładki, zdjęcie na okładce i w książce: Paweł Nowakowski. Seria *tablice*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2011, s. 56.

„Pomost 2011. Almanach warsztatów literackich”. Projekt okładki Arkadiusz Łuszczak. Zdjęcia na okładce: Dorota Ryst. Seria *Salonu Literackiego*, tom 6. Stowarzyszenie Salon Literacki, Miastko 2011, s. 56.

Marek Wiśniewski, „Niepotrzebne skreślić”. Zdjęcie autora: Elżbieta Wiśniewska. Zdjęcie na okładce i w książce: Bartosz Wójcik. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *tablice*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2011, s. 54.

Zbigniew Wojciechowicz, „Orwo”. Zdjęcie autora: Katarzyna Wojciechowicz. Zdjęcie na okładce i w książce: Stanisław Wojciechowicz. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *tablice*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2011, s. 56.

Jarosław Woźniczka, „Nieodwracalne”. Ilustracje: Michał Chabielski. Projekt okładki: Michał Chabielski i Anita Szprych. Seria *poezja polska*. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2011, s. 76.

Stanisław Zwierzyński, „Wiednik”. Projekt okładki i ilustracje: autor. Wydawca ZLP Odsiał Warszawski, Warszawa 2011, s. 48.

PROZA

„Antologia współczesnych polskich opowiadań”. Projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcia na okładce i w książce: Paweł Nowakowski. Seria *kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2011, s. 256.

Jean-Marie Le Clezio, „Mondo i inne historie”. Przełożyła: Hanna Igalson-Tygielska. Projekt okładki i stron tytułowych: Przemysław Dębowski. Wydawnictwo WA.B., Warszawa 2011, s. 288.

Janusz Koryl, „Sny”. Projekt okładki: Grzegorz Działo. Wydawnictwo Dreams, Rzeszów 2011, s. 144.

Daniel Liskowacki, „Skercio”. Projekt graficzny serii, projekt okładki, zdjęcie autora, zdjęcia na okładce i w książce: Paweł Nowakowski. Seria *kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze 2011, s. 128.

Marta Magaczewska, „Bahama yellow”. Projekt okładki: Anna M. Koźbiel. Wydawnictwo JanKa, Pruszków 2011, s. 224.

Agnieszka Masłowiecka, „Pyszne ciało”. Zdjęcie autorki: Małgorzata Dmochowska. Zdjęcie na okładce z archiwum autorki. Zdjęcia w książce: Marcin Adamski. Projekt graficzny serii, projekt okładki: Paweł Nowakowski. Seria *kwadrat*. Wydawnictwo FORMA, Szczecin-Bezrzecze, 2011, s. 98.

Anna Nasiłowska, „Konik, szabelka. Powrót do nieistniejącego domu. Opowieść o wojnie, której nikt nie pamięta”. Świat Książki, Warszawa 2011, s. 208.

Rainer Maria Rilke, „Zapiski Maltego Lauridsa Brigge”. Przełożył: Piotr Wiktor Lorkowski. Ilustracja na okładce: Christian Albrecht Jensen *Portret duńskiego chłopca*, kolekcja Heinricha Hirschsprung, Kopenhaga. Biblioteka „Toposu”, tom 69. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, redakcja „Toposu”, Sopot 2011, s. 228.

Piotr Semrau, „Nieznana biografia Jezusa”. Projekt okładki: Kornel Maliszewski. Na okładce zdjęcie obrazu Henryka Borkowskiego z kolekcji prywatnej. Mamiko Apolonia Maliszewska, Nowa Ruda 2011, s. 248.

NAUKA, KULTURA, SZTUKA

Bernadetta Darska, „Śledztwo i pięć. O bohaterkach powieści kryminalnych”. Zdjęcie na I stronie okładki: Aleksandra Teresińska. Projekt i opracowanie graficzne: Przemysław Tymiński. Zdjęcie autorki na okładce: Janusz Pająk. Stowarzyszenie Artystyczno-Kulturalne „Portret”, Olsztyn 2011. Tom I, s. 390. Tom II, s. 303.

„Jak zostać pisarzem. Pierwszy polski podręcznik dla autorów”. Pod redakcją Andrzeja Zawady. Projekt okładki: Mariusz Bunachowicz. Wydawnictwo Bukowy Las, Wrocław 2011, s. 304.

„Kultura studencka. Zjawisko – twórcy – instytucje”. Pod redakcją Edwarda Chudzińskiego. Projekt merytoryczny i redakcja: Edward Chudziński. Współpraca redakcyjna, korekta: Andrzej Bogunia-Paczyński. Projekt i opracowanie graficzne: Dorota Ogonowska. Na okładce wykorzystano fragment plakatu Eugeniusza Geta-Stankiewicza. Wydawca: Fundacja STU, Kraków 2011, s. 432.

Maria Szyszkowska, „Etyka”. Kresowa Agencja Wydawnicza, Białystok 2010, s. 152.

Maria Szyszkowska, „Filozofia polityki”. Redaktor naczelny: Bruno Hołyst. Kolegium redakcyjne: Stanisław Dawidziuk, John McGraw, Karol Poznański, Hans Joachim Schneider, Stanisław Sudoł, Minoru Yokoyama. Recenzent: Lucjan Turowski. Redakcja: Anna Wiśniewska. Projekt okładki: Elżbieta Kąkol. Wydawnictwo Wyższej Szkoły Menedżerskiej, Warszawa 2011, s. 102.

Maria Szyszkowska, „Každy bywa pacjentem. Zarys filozofii farmacji”. Opracowanie redakcyjne: Hanna Januszewska. Projekt okładki: Agnieszka Miłaszewicz. Zdjęcie autorki na IV stronie okładki: Jan Stępień. Dom Wydawniczy ELIPSA, Warszawa 2010, s. 102.

[ad]

O Jaćwingach przejmująco...

(Dokończenie ze strony 20)

Po przeczytaniu „Spartan północy” winna otoczyć nas woń wszelkich ingrediencji dziejowych, dawnych radości i frasunków. Niezależnie od świadomych intencji autora, otwartego na wszelkie interpretacje i skojarzenia myślowe, w miarę jak przechodzimy przez nowe doświadczenia historyczne i kolejne fazy naszego losu. Obcowanie ze światem (w swej zmienności) jest jak gлина w rękach garniarza.

Zenon Kamiński – autor powieści historycznych potrafi garnki lepić.

PS. Być może na moją prośbę i czytelników doczekamy się dalszego ciągu historii – napisanej przez Zenona Kamińskiego – równie finezyjnym stylem – a sięgającej XIII stulecia, kiedy to książę Leszek Czarny – po zwycięstwie nad plemieniem Jaćwingów miał przyjąć na dwór i do herbu Topór syna pokonanego wodza Skomanda. „Wiek XIII to okres podboju ziemi Jaćwingów przez Krzyżaków, którzy doprowadzili w końcu do niemal całkowitego wyniszczenia tego narodu”.

ANDRZEJ GNAROWSKI

Zenon Kamiński, „Spartanie północy”. Wydawnictwo Astra, Łódź 2008.

„Smarzowski nie po raz pierwszy odtwarza na ekranie polskie piekło. Z wszystkich jego filmów wychodzi się z ciężkim kacem. W »Weselu« (2004) nasze poczciwe narodowe przywary pokazywał w okrutnym zbliżeniu, jak przez denko od świeżo opróżnionej butelki. Podobnie było w »Domu złym« (2009), gdzie kryminalna intryga z czasów stanu wojennego rozbudzała istne demony – do dziś zresztą pokutujące w naszej mentalności – pisze Anita Piotrowska w „Tygodniku Powszechnym”, numer 6/2012.

W »Róży« reżyser cofa się o kilkadziesiąt lat, do symbolicznego czasu »zaraz po wojnie«, kiedy kształtowały się zręby nowego systemu i najnowszej historii Polski. To, co wcześniej poznawaliśmy w »Domu złym« i »Weselu«, wydaje się teraz naturalną kontynuacją historycznych doświadczeń. Oglądając »Różę« uświadomiamy sobie w całej jaskrawości, że dzisiejsza Polska została ufundowana na gwałcie, przemocy i etnicznej nienawiści. I że nie zawsze mieliśmy w niej usprawiedliwiający wszystko status ofiary. Opowieścią o gwałconej Róży z Mazur Smarzewski udowadnia, że w XXI wieku nie ma już miejsca na pisanie historii, która jest prosta niczym czy-

tanka albo podniosła jak szkolna akademia. I że nie znaczą jej wyłączności bitwy, sojusze, wielkie liczby i wielkie nazwiska”.

„Dopiero co ukazał się dziennik Iwaszkiewicza, za chwilę wyjdzie kolejny tom Mroźka, a przed nami jeszcze »Tajny dziennik« Mirona Białoszewskiego (wydawnictwo Znak), który jest całkowicie odmienny od zapisków innych pisarzy. Zamiast autoanalizy i żalów starości wpadamy tutaj w wir życia, w tłum gości i spotkań.

W latach 70. Białoszewski pisał i wydawał sporo. Za dużo drukujesz – mówili mu przyjaciele. Nie opublikował więc wtedy »Chamowa« – dziennika prowadzonego w nowym mieszkaniu na Lizbońskiej, który ukazał się dopiero w 2009 roku. W 1975 roku zaczął też pisać tajny dziennik i prowadził go aż do śmierci w 1983 roku – pisze Justyna Sobolewska w „Polityce”, numer 5/2012.

Niemal wszystko, co pisał w tym czasie, było trochę dziennikiem. Dlaczego więc ten miał być tajny? Białoszewski chciał swobodnie mówić o bliskich ludziach, o swoich odczuciach, ale zależało mu, żeby nikogo nie dotknąć. Jeśli jednak ktoś spodziewa się ostrych, demaskujących sądów, to tutaj ich nie znajdzie. A w każdym razie nie więcej niż w innych książkach, gdzie pisał otwarcie i o ludziach, i o swoim homoseksualizmie. Raczej nikt się nie obrazi. Wydarzeniem jest jednak to, że Białoszewski rzeczywiście dopuszcza czytelnika bardzo blisko. Pokazuje tutaj dopiero, jak się stał tym, kim był, pozwala się zbliżyć do swojej tajemnicy.

Widzimy jego życie jako świadomie przeprowadzony eksperyment. Ten dziennik zmienia też stereotypowy obraz poety jako oderwanego od świata specjalisty od franciszkańskich zachwytnów. Nie, ten Miron bywa drapieżny, a do dziennika przenika atmosfera Polski tamtego czasu”.

„W filozofii Polańskiego jest pesymizm, rys fatalizmu, ale też pewnego konserwatyzmu, choć nie wskazywałoby na to swobodne, pełne obyczajowych ekscesów życie tego reżysera.

Znamienna jest jego niechęć do rewolucji, to, że jako juror w 1968 roku w Cannes nie chciał przyłączyć się do kontestatorów, którzy przerwali festiwal. W swoim fabularnym debiucie, »Nozu w wodzie«, mówi o młodym gniewnym, jesteś taki sam, jak starszy dorobkiewicz, marzysz o tym samym. »Chinatown«, »Oliver Twist«, »Autor widmo« mówią: świat nie da się zmienić – pisze Tadeusz Sobolewski w „Gazecie Wyborczej”, numer 17/2012.

Polański często stwarza sytuacje, które odsłaniają prawdziwą naturę jej uczestników, aby na końcu pozwolić im wrócić do punktu wyjścia,

ocalić siebie. »Nóż w wodzie« prowadzi do takiej właśnie puenty. Spotkanie zamożnej pary z młodym chłopakiem, którego biorą na swój jacht, wyzwała ducha walki i rywalizacji. Ten, który kiedyś dostawał w kość, a potem dorobił się wysokiego statusu, będzie chciał »przezołgać« młodego, przeliczy się, jak to bywa w filmach Polańskiego, prześladowca i ofiara zamienią się rolami. Obserwujemy ich rozgrywkę kolejno z różnych punktów widzenia, nie przyjmując żadnego za decydujący. Liczy się sama gra – zwycięstwem będzie znaleźć się poza grą, poza walką.

W tej grze każde z nich będzie miało swój moment satysfakcji, przewagi, odwetu za dawne upokorzenia. Ale zakończenie przynosi powrót do stabilności, do punktu wyjścia. I nie jest to bynajmniej rozwiązanie cyniczne. Zajrzeli w otchłań, ale czy to znaczy, że muszą w nią wpadać? Wracają pogodzeni. Nie powiedzą sobie całej prawdy.

Myślałem o tym filmie, oglądając »Rzeź«. Czy nie jest tak, że całe kino Polańskiego tworzy jedną całość, a jego kolejne filmy są jak karty wyjmowane z tej samej talii?

Złe bóstwo »Rzezi« tkwi w samej sytuacji. Po pierwszym pożegnaniu rodzice chłopca napastnika nie powinni byli wracać do rodziców napadniętego. »Bliższe poznanie« sprawi, że matka chłopca, który był ofiarą napaści, przyjmuje nieznośną rolę autorytetu moralnego, a z kolei rodzice napastnika nie zamierzają przyjąć roli winowajców. Walka między synami przenosi się pomiędzy rodziców. Dyskusja zamienia się w rodzaj kontredansa, w którym przeciwzione zostają wszystkie figury najpierw pary stają przeciwko sobie, potem zaczyna się walka wewnątrz par, a w końcu rzucają się przeciw sobie solidarnie mężczyźni i kobiety.

Nie argumenty się tu liczą, tylko sytuacja. Puśta walka, w której trzeba bronić swoich ról, wypełniając je jakąś treścią, czy to będą »zachodnie wartości«, czy »los Afryki« – aby na koniec znaleźć się w punkcie, gdy matka napastnika dochodzi do wniosku, że jej syn »słusznie zrobił«, dzieląc drugiego kijem. Czy nie tak wyglądają dziś dyskusje polityczne, kulturalne, religijne? Bóg rzezi czekał na ten moment, ale duch farsy zwyciężyła.

Ta farsa, mimo swojej lekkości, odsłania tę samą pułapkę jaka czyhała na bohaterów czarnych filmów Polańskiego. Kiedy w »Rzezi« dwie małżeńskie pary, już po zawarciu konwencjonalnej umowy, chcą jeszcze bliżej się poznać i wyjaśnić sobie pewne rzeczy, chciałoby się uprzedzić ich słowami Gittesa »Lepiej nie wiedzieć... Możliwie jak najmniej«.

[ad]

Gazeta Kulturalna Poezja Proza Krytyka Historia Sztuka Muzyka – miesięcznik

Wydawca i redakcja: DOM KULTURY 97-425 ŻELÓW, ul. Kościuszki 74, tel. (044) 6341098; 504630543

e-mail: andrzejdebkowski@wp.pl www.gazetakulturalna.zelow.pl

Redaktor prowadzący — Andrzej Dębowski.

Współpraca: Józef Baran, Emil Biela, Tadeusz Czerniawski, Małgorzata Dębowska, prof. Igancy S. Fiut, Andrzej Gnarowski, Kazimierz Iwosse, Stefan Jurkowski, Rafał Orlewski, Janusz Orlikowski, Stefan Pastuszewski, prof. Maria Szyszowska, Igor Wieczorek, Tadeusz Zawadowski, Leszek Żuliński.

Współpraca techniczna: Małgorzata Kotala, Agnieszka Kowalczyk.

Redakcja nie zwraca niezamówionych materiałów. Zastrzega sobie prawo do skracania artykułów oraz zmian tytułów nadsyłanych tekstów bez uprzedniego powiadomienia autora. Skład: Andrzej Dębowski. Druk: „TAGRAF”, 98-113 Buczek, Bachorzyn 13, tel. (043) 677-41-56.